Nr. 5. Lwów, Niedziela dnia 30. Stycznia 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

V.

Nauka katechizmu w szkołach elementarnych.

Mamy przed sobą książeczkę, zatytułowaną „Katechizm rzymsko-katolicki dla dzieci, tłumaczył X. E. L.“ według której uczą się dzieci siedmioletnie religji.

Po modlitwie Pańskiej, pozdrowieniu Anielskiem i składzie Apostolskim, następują: dziesięć przykazań, akty strzeliste, sześć prawd, spis sakramentów, przykazania kościelne, i t. d. rady ewangieliczne, grzechy przeciwko Duchowi św., wreszcie właściwy katechizm.

Wszystkiego tego, co właściwy katechizm poprzedza, dzieci uczyć się muszą, oczywiście uczą się na pamięć, nie rozumiejąc wcale treści, bo takowa żadną miarą, ani z ich pojęciami ani z ich wiekiem, ani z zasobem wiadomości nie licuje, równowagi wytrzymać nie może, i nawet najzdolniejszy nauczyciel nie znajdzie sposobów wytłumaczenia, wyjaśnienia dziecięcemu, dziecinnemu umysłowi, znaczenia słów, dla dziecka zupełnie zawiłych.

Żaden pedagog nie zgodziłby się na to, aby n. p. uczyć logiki i psychologji chłopców, którzy jeszcze myśleć się nie nauczyli, i są dopiero w 2 klasie gimnazjalnej. Nie możnaby też uczyć historji literatury takich, którzy nie rozumieją dokładnie tego, co czytają.

Już skład apostolski jest trudnym do zrozumienia dla dziecka, i dlatego wiele rodziców słusznie postępuje ucząc go dzieci, gdy już podrosły i poznały biblję tak starego, jak i nowego zakonu; a cóż dopiero mówić o sześciu prawdach, o przykazaniach kościelnych, grzechach przeciwko Duchowi św. it. d.

Tłumaczyć dziecku znaczenie Trójcy św. znaczenie sakramentów, grzechy rozmaite i t. d. to zdaje się więcej, aniżeli niemożebne dla nauczyciela.

Pacierza dziecko uczy się od matki, gdy mówić zaczyna, a gdy mu się znaczenie odmawianej modlitwy wytłumaczy, to dość tymczasowo na wiek dziecięcy. Czyżby nie było stosowniej, zaczynając z dziećmi naukę religji, rozpoczynać od łatwo, stosownie do dziecięcego wieku, ułożonej historji biblijnej?

Opowiadanie takie zajmując wyobraźnię dziecka, naturze jego odpowiednie, z jednej strony rozwijałoby mu umysł, a z drugiej przygotowałoby je odpowiednio do zrozumienia treści wymienionych powyżej artykułów katechizmu.

Nauka religji, jeżeli ma cel właściwy osiągnąć, nie powinna być zbiorem trudnych do zrozumienia wiadomości, ujętych we formuły dla dziecka niejasne, ale nauką trafiającą stopniowo do władz umysłowych dziecięcia, i zaczynając od działania na wyobraźnię, przechodzić winna do duszy i serca, żywa, jasna, zrozumiała. Religja powinna przeniknąć istotę całą, ożywiać ducha, i być mu materjałem karmiącym — powinna wytwarzać religijność, a czyż to nie jest zabiciem religijności, zgnieść, zabałamucić, przywalić umysł ciężarem niezrozumiałych prawideł, i zaraz na wstępie do życia pokazać dziecku formę religji, a nie jej ducha?

Religja powinna być powabną dla dziecka, powinna być tak uczoną, aby od pierwszych chwil swego życia, dziecko lgnęło ku niej, niejako wyciągało rączęta — a jakżeż to być może, jeżeli początek tej nauki staje się dla dziecka nieznośnym, bo jej nierozumie, bo celujące w innych przedmiotach, w tym nie może dać sobie rady i płacząc godziny całe trawi, aby zapamiętać puste dla siebie i niezrozumiałe wyrazy o sodomskim grzechu, o akcie strzelistym, o dziesięcinach, a nawet rzeczy takie, jak o Trójcy św. o zbawieniu i t. d.

Jak zabójczy wpływ taki system nauki na dziecko wywiera, przekonaliśmy się sami, jak dziecko wesołe, swobodne, szczere, zacząwszy uczyć się w szkole religji w powyższy sposób, sposępniało, stało się jakieś bojaźliwe zakłopotane zawsze. Zaniepokojona matka zaczęła wypytywać dziecinę i dowiedziała się, że katechizm formalnie dziecku zawrócił głowę.

— Mama zawsze mówi, że Bozia taki dobry, że kocha ludzi, że im wszystko daje, że o każdym pamięta, a tymczasem Bozia jest straszny, ja się go boję!

Oto, jak dziecko zrozumiało naukę o piekle, o bojaźni boskiej, o sakramencie pokuty i t. d.

Przecież tylu światłych jest kapłanów, i że też nie pomyśli który z nich, żeby zreformować system nauczania religji? Tak jak dzisiaj jej nauczają (mówimy tu zawsze o dzieciach), niedziwota, że wiele rodziców nie posyła synów do szkół początkowych, a córki od nauki religji w pensjonatach wyłączają.

Może to zbyt śmiałem z naszej strony, stawiać program nauki — ale sądzimy, że najstosowniej byłoby: rozpocząć z dziećmi historję biblijną, a po tem dopiero przystąpić do właściwego katechizmu, owe zaś akty strzeliste, przykazania kościelne, prawdy i rady ewangieliczne, dopiero wtenczas dziecku tłumaczyć, gdy dziecko w chłopię, lub w dziewczę wyrosło n. p. w klasie 3 lub 4 szkół początkowych.

Rzuciwszy tych słów kilka, odsyłamy interesowanych do książeczki, której tytuł powyżej podajemy, a zdaje nam się, że każdy kto ją przeczyta, zgodzi się na uwagi nasze.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

VI.

Jedna z najpobożniejszych kamienieckich dewotek opowiadając na drugi dzień swoim znajomym i koleżankom z tegoż fachu o tym zachwycie Rafała Fajskiego, zapewniała i przysięgała na wszystkie świętości, że widziała światłość nad jego głową.

— O! ja to widywałam już nieraz — zauważyła jedna ze słuchaczek.

— A ja byłam wczoraj w kościele, patrzyłam się na niego i nic nie widziałam, — wtrąciła druga.

— Widać że to było dane widzieć tylko duszom szczerze pobożnym, — nadmieniła w sposobie konkluzji trzecia.

— A ja to może nie jestem szczerze pobożna? — upomniała się ta, której pobożność podano tym sposobem w wątpliwość co do gatunku.

— To należy sądzić ze skutków...

— Cóż to asani sobie myślisz!..

— Asani!.. proszę!

I pomiędzy dwiema pobożnemi duszami przyszło ni ztąd ni z owąd do grzesznej sprzeczki.

Zachwyt Rafała Fajskiego trwał punktualnie do godziny jedenastej przed południem.

O godzinie jedenastej Rafał Fajski znów potrzykroć ucałował marmurową posadzkę kościoła i poszedł do celi ojca Nikazego, który tam już na niego oczekiwał.

— Kiedy ci się z Bożą pomocą udało dostać paszport — rzekł do niego ojciec Nikazy — to jedźże z Bogiem. Wiem że w pewniejsze ręce mojej posyłki złożyć nie mogę.

— Grzeszny człowiek jestem, ojcze spowiedniku — rzekł Rafał — ale zaufania nie zdradzę, tak mi Panie Boże dopomóż!

— Wierzę ci bez przysięgi, nie przysięgaj daremno!

Rafał Fajski z całej siły grzmotnął się w piersi i rzekł smutnie:

— *Mea culpa! peccavi!*

Ojciec Nikazy złożył w ręce świętego męża spory opieczętowany pakiet.

— Oddasz to ojcu Fulgencjuszowi, przełożonemu klasztoru Kapucynów w Gradowcach.

— Jeśli Niebo żywym dojechać mi pozwoli.

— Nie zalecam ci, żebyś nie naruszał pakietu.

— Oh! ojcze duchowny...

— Wiem że go nie tkniesz... A tutaj masz na drogę.

To mówiąc ojciec Nikazy dał Rafałowi Fajskiemu banknot dziesięcio - rublowy.

— Czy dosyć będzie?

— Oh! ojcze spowiedniku, będę mógł jeszcze po drodze niejednego biedaka sowitą obdarzyć jałmużną, żeby się modlił o szczęście doczesne i wieczne mego ojca duchownego i dobrodzieja.

— Więc bądź zdrów.

Rafał ukląkł i pobożnie pochylił czoło, a świętobliwy kapłan zrobił nad jego skronią znak błogosławieństwa.

Ucałowawszy pasek św. Franciszka, którym zakonnik był opasany, święty człowiek powstał z miejsca, skłonił się księdzu, przeżegnał święconą wodą z kropielniczki zawieszonej przy drzwiach celi, i pochwaliwszy Chrystusa wyszedł.

Szedł spieszniej niż zwykle, pilno mu było widać przygotować się do podróży.

Przyszedłszy do swojej izdebki, zamknął się na klucz i wyjąwszy pakiet ojca Nikazego z zanadrza wpatrywał się weń pilnie.

Dziwne widać przychodziły mu myśli, bo parę razy robił takie ruchy, jakby go zamierzał otworzyć, ale się rozmyślił i dał pokój temu zamiarowi.

Zdjął następnie z siebie wierzchnie ubranie i obnażywszy się do pasa, odwiązał trzos, którym był przepasany.

W trzosie tym było złoto i papiery, któremi pobawił się przez chwilę, wzrokiem przebiegając je szybko, jakby się chciał przekonać czy ich nie ubyło, dołączył do nich potem banknot sturublowy otrzymany od policmajstra i napowrót opasał się trzosem.

Gdyby się kto był przyjrzał temu trzosowi zadziwiłby się bardzo, zkąd w Kamieńcu powstała pogłoska, że Rafał Fajski opasywał się kateną, to jest pasem na wewnątrz tępemi najeżonym kolcami — kolców bowiem na trzosie ani śladu nie było.

Zapiąwszy trzos Rafał Fajski zdjął z gwoździa dyscyplinę i zaczął smagać grzeszne ciało swoje. Ale roztargnionym był... widać tego dnia, gdyż razy dyscypliny, których echo rozlegało się głośno, i w sieni lub przez drewniane ściany mogło być z łatwością słyszane, nie padały na grzeszne jego plecy, ale na skórę niewinną jakiegoś biednego bydlęcia, z którego wierzchniej powłoki, wyprawionej w garbarni gradowieckiej, jeden z kamienieckich rymarzy trzos jego zrobił.

W chwil kilka potem dało się słyszeć głośne pukanie do drzwi biczującego się świętego męża.

— W imię boże! — zawołał Rafał Fajski, nie przestając swojej pokutniczej czynności.

— To ja — odpowiedział głos kobiecy, to ja, panie Rafale.

— Czego chcesz niewiasto od sługi Bożego?

— Na miłość boską, panie sąsiedzie, nie katuj się pan... to okropność tak się katować! ja mdleję na samą myśl co pan cierpisz!

— Idź precz niewiasto, módl się i czyń pokutę, a nie wwódź na pokuszenie sługi Bożego.

— Ależ panie Rafale, zaklinam pana...

— W imię świętego Franciszka, którego jesteś służebnicą i którego szatę nosisz jako tercjarka, rozkazuję ci siostro, nie wwódź mnie na pokuszenie.

Rozkaz był skuteczny. Pobożna i litościwa sąsiadka powróciła do swojego pokoiku, położonego tuż obok mieszkania pobożnego męża, i zamknęła drzwi za sobą na dwa spusty.

Wkrótce potem Rafał Fajski biczować się przestał. Zbliżył się do jednej ze ścian swojej izdebki, odstawił stojącą przy niej półkę z książkami do nabożeństwa, podniósł wiszący po za nią dywanik, poruszył klamkę znajdujących się za dywanikiem drzwiczek, i znalazł się w mieszkaniu litościwej sąsiadki.

Była to trzydziestokilkoletnia zaledwie kobieta, w której, gdybyśmy mieli sposobność przypatrzeć jej się bliżej, poznalibyśmy niezawodnie tę pobożną osobę, która nad głową klęczącego w zachwycie Rafała widziała światłość i miała o tem opowiadać nazajutrz swoim znajomym i koleżankom w zawodzie.

Ta kobieta, dosyć przystojna jeszcze, miała teraz sposobność widzieć cud drugi, mogła się naocznie przekonać, że silne razy dyscypliny na plecach świętego jej sąsiada nie pozostawiły pręg sinych, ale o tym drugim cudzie nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać nikomu.

VII.

Nazajutrz Rafał Fajski był już w Gradowcach i doręczał ojcu Fulgencjuszowi posyłkę ojca Nikazego.

Ojciec Fulgencjusz nie znał dotąd pobożnego kamienieckiego męża, którego fizjognomja za pierwszem ujrzeniem, wzbudziła w nim, jak we wszystkich, instynktowną niechęć i nieufność.

Ta instynktowna niechęć była powodem, że sędziwy kapłan, pomimo iż powinien był ufać człowiekowi, któremu ojciec Nikazy powierzył tajemnicze posłannictwo, nie zaufał mu jednak, i dopiero po odprawieniu go do refektarza, ażeby się czemś posilił po przebytej drodze, zabrał się do otworzenia posyłki.

W posyłce tej, oprócz papierów odnoszących się do sprawy narodowej, był list ojca Nikazego, który swego penitenta najgoręcej ojcu Fulgencjuszowi i zgromadzeniu Kapucynów polecał, jako męża wypróbowanej pobożności i cnoty.

List ten sprawił, że ojciec Fulgencjusz zobaczywszy po drugi raz Rafała, tłumaczył sam sobie, że się przeciwko niemu niesłusznie uprzedził, i choć tego uprzedzenia jeszcze pozbyć się nie mógł, zawsze przecież starał się mu wynagrodzić krzywdę w myśli podejrzeniem zrządzoną, ofiarując mu gościnność klasztoru, dopóki tylko będzie potrzebował z niej korzystać.

Zbytecznem byłoby dodawać, że tego właściwie Rafałowi było potrzeba.

W ciągu dwóch dni okazał tak gruntowną znajomość reguły kapucyńskiej, taką gorliwość w braniu udziału we wszystkich pobożnych praktykach zakonników, że sobie najzupełniej przełożonego i wszystkich ojców klasztornych pozyskał.

Po kilku dniach nie tajono się już przed nim z niczem, a nawet zwierzać się zaczęto.

Tym sposobem nim upłynął termin przez policmajstra wyznaczony, Rafał wiedział już nieomylnie, że głową wojskowej organizacji powstańczej w powiecie kamienieckim był właściwie garbarz, Stanisław Wydra.

Wiedział nawet więcej. Wiedział że Stanisław ma zakopaną broń, że wszystko było do wybuchu gotowe. Miejsc mu tylko nie wskazano, gdyż nie mógł się o nie dopytywać, ażeby się zbyteczną ciekawością nie zdradzić.

Wiedzieć jednak i być nawet najmocniej przekonanym nie wystarczało. Gdyby wskazał Stanisława i gdyby go aresztowano, a nie znaleziono przy nim żadnego dowodu jego winy, skompromitowałby się tylko przed policmajstrem; tymczasem z wskazó-

wek, jakie zebrał, mógł wnosić, że Stanisław był ostrożny i że znaleźć przeciwko niemu jakiś dowód namacalny nie będzie łatwo, zwłaszcza gdyby poszukiwania przedsięwziął ktoś inny, korzystający tylko z udzielonych mu poszlak i domysłów, gdzie trzeba szukać, ażeby coś znaleźć.

Wynikła ztąd konieczność, żeby pobożny człowiek sam czynnie przy rewizji i aresztowaniu naczelnika organizacji wystąpił.

Taki czynny udział był dla Rafała zrzuceniem maski. Zrobiwszy coś podobnego nie mógł on dłużej w Kamieńcu pozostać, ale widzieliśmy, że był na to z góry przygotowany, skoro po dokonaniu dzieła, żądał paszportu do Galicji, przyczem naturalnie, gdyby tylko zapragnął, mógł dostać inne nazwisko i przestać być dla świata Rafałem Fajskim.

Nie cofnął się zatem przed koniecznością.

W dniu w którym się odbywała wspomniana przez nas powyżej mustra w Garbarni, z samego rana pożegnał ojca Fulgencjusza i zakonników, oznajmiając im, że powraca do Kamieńca i zapytując czy nie mają jakiej posyłki do wręczenia ojcu Nikazemu.

Ojciec Fulgencjusz odpowiedział, że posyłka mogłaby być dopiero za dni kilka.

Niebardzo to w smak poszło Rafałowi, ale czekać nie mógł, termin wyznaczony przez policmajsta był stanowczy.

Wyjechał zatem, ale dojechał tylko do Rozdroża. W Rozdrożu się zatrzymał aż do wieczora. Chciał Mortka wyciągnąć na rozmowę i uzupełnić z jego wygadania się swoje relacje, lecz Mortko nie był łatwowierny, pierwszym swoim instynktem wierzył, a powierzchowność lichego gościa, pomimo świętej jego miny, niewiele w nim zaufania wzbudzała, próba ta zatem zupełnie się nie powiodła.

Nad wieczoram zajechał do Rozdroża oficer żandarmerji z Kamieńca, z oddziałem wojska złożonym z kilkunastu ludzi.

Gdy oficer ten wchodził do izby szynkownej i zobaczył tam Rafała, zdawało się poczciwemu Mortkowi, że z sobą jakiś znak porozumienia zamienili. Rafał dwuznacznie bardzo mrugnął oczyma, a oficer miał kiwnąć głową potakująco, czego w tym wypadku wcale nie było potrzeba.

Ale sam Mortko byłby następnie przysiągł, że to mu się tylko zdawało, bo oficer natychmiast zwrócił się do niego, jako do arendarza i zapytał:

— Czy znasz tego człowieka?

— A zkąd ja mam znać?... nie znam.

— Czy tutejszy?

— Jakby on był tutejszy, to jakby ja mógł jego nie znać?

Oficer zwrócił się do Rafała, który w milczeniu i spuściwszy oczy siedział na ławie.

— Masz paszport?

— Mam — odrzekł Rafał, i podał badającemu papier.

Oficer rozpatrzył się w nim i rzekł półgłosem.

— Zostający pod ścisłym nadzorem policji, *czort pabieri*, mają ich niby pod nadzorem, a dają im paszporta, żebyśmy ich na drogach musieli pilnować.

I zwracając się znowu do świętego człowieka. rzekł gniewnie:

— Gdzie jeździłeś i po co?

— Do Gradowiec, w interesie familijnym...

— Kogo tam masz z familji?...

Rafał zmięszał się i zająkał.

— To jest... tego... w samych Gradowcach nie mam nikogo...

— A więc władzę wyprowadziłeś w pole, kiedyś żądał paszportu dla interesu familijnego. Hej karczmarz! dać mi oddzielną izbę! muszę zrewidować tego człowieka!

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

JÓZEF ROGOSZ.

(Dokończenie).

BRYGANCI.

Za mojej bytności we Włoszech, bryganci rekrutowali się najliczniej z lazaronów, których hasłem było: żyć nic nie robiąc! Z czego oni żyli, nie wiem, ale to pamiętam, że Neapol miał ich jeszcze kilkakroć, a samo Palermo przeszło sto tysięcy; że każdy żył, że żaden z głodu nie umarł, a jeźli któremu bieda w mieście nadto dokuczyła, wychodził na kampanję lub w góry, aby oddać się rozbójnictwu. Gdy mu się sprzykrzyło to rzemiosło, wracał spokojnie do miasta, i nikt go nie pytał, gdzie przebywał tak długo i czem się zajmował. Ojcowskie rządy burbońskie nie prowadziły dokładnych spisów ludności, to też policja nie wiedziała, ilu lazaronów wałęsa się po kraju, ilu rodzi się każdego roku, jakie są ich nazwiska, a ilu z nich umiera. Słowem było to państwo w państwie. W jednym z poprzedzających rozdziałów nadmieniłem, że Burboni ciągnęli nawet korzyści z tej smutnej instytucji. Oni lazaronów karmili, oni ich protegowali, aby mieć w nich sprzymierzeńców przeciw liberałom! Rząd Wiktora Emanuela, zająwszy prowincje południowe, robił co mógł, aby przełamać tę falangę, ale to mu się do tej chwili nie udało. Lazaroni, lubo mniej liczni jak dawniej, wygrzewają się ciągle do słońca nad brzegami morza, i stale zasilają brygantów.

Taki lazaron obdarty, to zjawisko niezwykłe. Jest on tak leniwy, że nawet mówić nie lubi, bo samo poruszanie językiem jest dlań subjekcjonalnem. Gdy go o co zapytasz, albo uda że nie słyszy, albo w najlepszym razie odpowie ci mimiką.

Jeden z moich znajomych wysiadłszy na brzeg w Neapolu, rozglądał się szukając człowieka, któryby mu zaniósł do dorożki, stojącej o kilkadziesiąt kroków za ogrodzeniem portowem, niewielką walizkę. Ujrzawszy leżącego na ziemi obdartusa, zbliżył się doń pytając, czyby nie chciał zrobić mu tej przysługi.

Lazaron leżał na wznak twarzą do słońca obrócony; zamiast zwykłej czapki rybackiej, miał strzępki kapelusza, któremi sobie zasłonił pół twarzy i jedno oko. Drugie miał przymrożone. Słysząc słowa do siebie wprost zwrócone, raczył otworzyć to oko, ale zobaczywszy przed sobą cudzoziemca, zamknął je natychmiast i jak posąg grecki osłonił się głębokiem milczeniem.... Mój znajomy rozgniewany takiem lekceważeniem swojej osoby, zaczął lazarona karcić tak dosadnie, że ten ponownie oko otworzył; usłyszawszy kilka przekleństw czysto neapolitańskich, uśmiechnął się z zadowoleniem i wycedził przez usta:

— *Ho già mangiato!* (Jużem jadł.)

Temi słowy usprawiedliwił się najzupełniej. On już dziś jadł, więc do wieczora nic robić nie będzie! Mój znajomy nie dał się jednak i tem odstraszyć, i tak długo maltretował lazarona, dopóki ten nie zdecydował się uczynić zadość jego życzeniu. Z trudnością podniósł się z ziemi, a przerzuciwszy walizkę przez plecy, poszedł z nią do najbliższej dorożki, gdzie otrzymał stosowne wynagrodzenie. W chwili gdy mój znajomy wsiadł do dorożki, lazaron nikogo o pozwolenie nie prosząc, wdrapał się na kozioł. Cudzoziemca nieprzyzwyczajonego do takiej poufałości, postępowanie to bardzo zadziwiło.

— Kanalja! — rzekł do siebie — nie dość że mi nie podziękował, gdym mu dał franka, ale w dodatku jedzie jak mój kamerdyner.

Gdy dorożka zatrzymała się przed hotelem Rzymskim, lazaron zeskoczywszy z kozła, zastąpił drogę memu znajomemu i w milczeniu rękę wyciągnął.

— Czego chcesz?

— *Pagate!* (Proszę zapłacić.)

— Za co?

— *V'ho accompagnato!* (Odprowadziłem pana.)

Mój znajomy parsknął śmiechem serdecznym, a że go to żądanie ubawiło, więc rzucił urwisowi jeszcze jednego franka. Lazaron odszedł, za 2 franki żył przynajmniej tydzień, bo lazaron żyje tylko owocami, które we Włoszech są za bezcen — i przez cały ten czas pewnie nic nie robił.

Ale lazaron umie być niekiedy prawdziwym człowiekiem!

Zapewne słyszeliście wszyscy *Niemę z Portici*, tę boską operę Aubera, i podziwialiście tego rybaka, a właściwie lazarona, który za hańbę, siostrze wyrządzoną, zrywa się do walki z wicekrólem! Wam się może zdawało, że to postać wymarzona, kreacja poetyczna. Nie! Massaniello żył, Massaniello działał, wprawdzie nie tak, jak mu dziś każą działać na deskach teatralnych, ale jak przystało na prawdziwego bohatera ludu. Nie hańba siostry była tam w grze, ale cierpienia całego pospólstwa w Neapolu.

W r. 1647 wicekrólem Neapolu był książę d' Arcos. Pospólstwo cierpiało pod jego rządami, bo despotyczny Hiszpan ustanowił opłaty od wszystkich produktów, a nawet od owoców. Między młodymi rybakami był jeden, z nazwiska Tomasso Aniello, którego przez skrócenie nazywano Massaniello. Młodziutką jego żonę urzędnicy wicekróla wtrącili do więzienia, bo usiłowała przemycić trochę mąki do miasta. Massaniello przysiągł za to zemstę—a gdy wszyscy lazaroni byli już przygotowani, rozpoczął walkę z wojskiem wicekróla. W jednym dniu zapłonął cały Neapol i cała kampanja... Armja pierzchła — Massaniello zwyciężył. Ale był to bohater jak wielu innych, bohater, który umiał zburzyć, lecz nie umiał zbudować. Pobiwszy wicekróla, wdał się z nim w układy. Wicekról zaprosił lazarona na ucztę, posadził obok go żony swojej, a królowa podała młodzieńcowi bukiet wonny... Massaniello przyłożył go do ust, a gdy po uczcie wrócił do lazaronów zebranych na placu del Mercato, nie wiedział jak do nich przemówić. Lazaroni po-

częli szeptać, że zaszczyty monarsze, z jakiemi wicekról przyjmował Massaniella, zawróciły mu głowę—a tymczasem on stracił trzeźwość myśli, przytomność i odwagę, gdyż bukiet, który mu królowa podała, był — zatruty.

Ośm dni panował Massaniello w Neapolu, a po ośmiu dniach odstąpili go najwierniejsi... Dziewiątego dnia wieczorem znaleziono jego zwłoki na ulicy. Ajenci wicekróla zamordowali bohatera ludu.

Odtąd książę d' Arcos panował spokojnie.

* * *

Rodzonym bratem lazarona jest żebrak włoski — a różnica między nimi chyba ta zachodzi, że gdy pierwszy wylęga się na Południu, drugi wałęsa się po wszystkich drogach i miastach półwyspu. Lazaron woli ukraść, zrabować, nawet zabić, niż prosić o jałmużnę: żebrak natomiast z zawodu, mimo lat młodych i rąk zdrowych, będzie cię tak długo ścigał prośbami i zaklęciami na wszystkich świętych, dopóki zniecierpliwiony nie rzucisz mu kilka soldów. Jeżeliś to jednak uczynił kiedy na ulicy, zwłaszcza na Corso w Rzymie papieskim, byłeś zgubionym! Corso roiło się od żebractwa, a zaledwie który z nich dostał jałmużnę od cudzoziemca (Włosi jałmużny nie dają) zaraz uwiadamiał o tem znakami swoich współtowarzyszy, którzy tak długo ścigali nieszczęśliwego *Inglese*, póki ten nie skrył się do jakiej kamienicy.

W kawiarniach, cukierniach, restauracjach, wszędzie żebraka zobaczysz, a że każdy Włoch będąc prawdziwem dzieckiem natury ma wielkie wyobrażenie o swojej wartości indywidualnej, (zapewne dla tego że jest człowiekiem) przeto taki żebrak stanąwszy przed tobą będzie o jałmużnę prosił, czasem jęczał, ale prosząc nie ukłoni się, a otrzymawszy nie powie: Bóg zapłać! Czasem zdarzy się nawet, że wszedłszy do kawiarni nie zdejmie kapelusza, tylko rękę wyciągnie i w milczeniu wszystkich gości obejdzie.

Jednego wieczora siedziałem w liczniejszem towarzystwie w kawiarni San Felice w Rzymie. Przez drzwi otwarte wszedł żebrak mogący mieć najwięcej 30 lat, a wysokości przynajmniej 6 stóp. Czarna, gęsta broda uwydatniała ostry rys jego twarzy; duże, pełne oko rzucało błyski ponure, a rozpięta bluza i podarta pod nią koszula odsłaniały piersi ogorzałe, szerokie, świadczące o niepospolitem zdrowiu ich właściciela. Gdybym z takim ptaszkiem spotkał się sam na sam w lesie, lub nocą w jakiej odludnej ulicy, sięgnąłbym natychmiast po rewolwer do kieszeni.

Wszedłszy spojrzał dokoła, potem poważnie zdjął kapelusz, i nic nie mówiąc obszedł wszystkie stoliki, trzymając kolejno przed każdym z gości swój kapelusz kalabryjski. Ten i ów rzucił kilka groszy. Żebrak schował pieniądze, a zbliżywszy się do naszego stolika, przy którym jedno krzesło było wolne, włożył kapelusz na głowę, usiadł obok nas najpoważniej w świecie, i końcem swojej laski zadzwonił w szklankę na stole. Gdy garson nadbiegł, zacny nasz towarzysz zadysponował głosem donośnym:

— *Caffè nero!*

Z niemałem zdumieniem spojrzeliśmy po sobie.

Garson przyniósł czarną kawę, żebrak wypił, a zapłaciwszy za nią naszemi pieniądzmi, odszedł krokiem wymierzonym, i nie uznał nawet za stosowne tym się ukłonić, którzy głównie przyczynili się do tego, że mógł wypić filiżankę czarnej kawy.

Nie był że to jaki brygant na urlopie, lub żebrak, który lada dzień miał zostać brygantem?

Drugi był jeszcze dowcipniejszym.

Pewnego dnia o godzinie 5. z południa wyszedłem w Rzymie z kawiarni Greckiej w towarzystwie p. C. Skwar był nieznośny, tak wielki, że popod domy mogliśmy się przesuwać zaledwie cieniem. Gdyśmy stanęli na rogu ulicy, p. C. postrzegł pierwszy na ostatnim stopniu schodów Hiszpańskich jakiegoś człowieka, który leżąc na kamieniach dawał nam ręką znaki, byśmy się doń zbliżyli. Na placu było pusto — upał wszystkich wymiótł. Przypuszczając, że choroba lub jaki inny wypadek zwalił z nóg nieszczęśliwego, biegniemy przez plac co tchu, lecz jakie było nasze zdziwienie, gdy stanąwszy przed żebrakiem, był to bowiem żebrak najprawdziwszy, usłyszeliśmy z jego ust te słowa:

— *Date cinque bajocchi!* (Dajcie pięć bajoków).

Nie jest że to zdarzenie arcyoryginalne?

On był za leniwy by wstać i do nas się zbliżyć; uznał przeto za rzecz dogodniejszą przywołać nas do siebie, a że jeden bajok był dla niego drobnostką, więc zażądał ich od razu pięć!

Gdyśmy mu odpowiedzieli, jak na to zasługiwał, zaklął pod nosem, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił głowę, bo odtąd nie byliśmy godni jego spojrzenia.

Jak się później dowiedziałem, żebrak ten był znany w całym Rzymie z oryginalnych swoich pomysłów, a że Anglicy przepadają za oryginalnością, więc codzień było ich kilkudziesięciu na wschodach Hiszpańskich, które żebrak od lat kilkunastu objął w posiadanie. Że każdy z synów Albionu rzucił mu coś do kapelusza, czasem nawet całego skuda, o tem wątpić nie można, i dla tego za bardzo prawdopodobną uważam wiadomość, udzieloną mi przez jednego Rzymianina, że ciekawy ten żebrak uciułał sobie kilkadziesiąt tysięcy, któremi obracał bardzo zręcznie, pożyczając na lichwę.

* * *

Po upadku Burbonów, brygantyzm stał się nagle instytucją polityczną. Osoby i dzienniki, przychylne Franciszkowi II zaczęły rozgłaszać, że w Neapolitańskiem i Sycylji uwijają się nie prości rozbójnicy, ale obrońcy monarchy zdetronizowanego. W całem tem twierdzeniu to tylko było prawdą, że bardzo wielu żołnierzy, a nawet oficerów z dawnej armji burbońskiej, nie znalazłszy pomieszczenia w szeregach wojsk włoskich, zaciągnęło się do brygantów. Że jednak ci panowie nie równie więcej myśleli o swoich kieszeniach, jak o prawach Franciszka II, że łupili na drogach publicznych tak dobrze stronników rządu włoskiego, jak wszystkich cudzoziemców, a między nimi szczególnie Anglików, podróżujących po Włoszech — na to znajdzie każdy tysiące dowodów w historji ubiegłego lat dziesiątka. Ale ten charakter polityczny brygantom był bardzo na rękę. Utrzymując, że są nieprzyjaciołmi uzurpatora, a zwolennikami Burbonów, zaskarbiali sobie najpierw względy tych obywateli, którzy wyznawali tę samą zasadę, a następnie liczyli na sympatję, często nawet na czynną pomoc rządu papieskiego, który wszelkiemi sposobami chciał szkodzić Wiktorowi Emanuelowi.

W pałacu Farzejuszów w Rzymie, w którym mieszkał Franciszek II, obradował najformalniejszy komitet, z którym naczelnicy pojedynczych oddziałów rozbójniczych bezpośrednio się znosili. Komitet dostarczał im broni, amunicji, pieniędzy, a działo się to tak jawnie, że tajni ajenci rządu włoskiego donosili zawsze do Florencji, kiedy jaki głośniejszy brygant bawił w Rzymie. Po każdem takiem ostrzeżeniu, wojska włoskie, stojące wzdłuż granic państwa kościelnego zwracały baczniejszą uwagę na miejsca mniej bezpieczne, i niemal zawsze zdarzało się, że opisany brygant pojawiał się na czele dobrze uzbrojonego i uorganizowanego oddziału. A że armja włoska nie wielką szczyci się odwagą, więc gdy przyszło do utarczki, nie raz ustępowała z pola walki — pozwalając brygantom minąć granicę.

Do najzuchwalszych w latach od 1864 do 1867 należeli Fuoco i Canone. Byli oni postrachem wojsk włoskich, bo każdy z nich rozporządzał oddziałem, liczącym czasem kilkunastu, a często nawet kilkuset ludzi...

Do dnia dzisiejszego brygantyzm nie został stłumiony.

* * *

Rozpoczynając pracę niniejszą, powiedziałem że dołożę starań aby nie znudzić czytelnika. Wspomnienia łatwo odżywają w pamięci, tysiące nowych obrazów tłoczy się pod pióro — a pióro biegnie tak szybko! Lecz gdybym teraz wszystkie spisał, czy nie znudziłbym przypadkiem?

A więc przerywam.

Koniec.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z tej chwili twórczej, którą rozpatrujemy, pochodzi także kilkanaście poezyj lirycznych. W nich piękna dusza poety najlepiej nam się odsłania. Wierszyki te ujmują prawie wszystkie nietylko serdecznem uczuciem, które z nich tryska, ale i odpowiednią formą, pełną harmonji w wyrazie i rytmie. Niejedna zwrotka zdaje się, jakby koniecznie prosiła o nutę — taka śpiewna. Należą tutaj: *Cisza* — *Pielgrzym* — *Do braci, trzy struny* — *Przypomnienie* — *Burza* — *Dzikie sny* — *Smutne pacholę* — *Niewierny* — *Rolnik podolski* — *Wieczór u brzózki* — *Sternik* — *Ucieczka*. W tych piosenkach zadźwięczy uroczo to sympatyczna struna miłości, to znowu odezwie się z całą siłą niepokój serca, które z nieokreślonem jakiemś przeczuciem, a z silną wolą rwie się ku wielkim czynom.

Hej życia! hej ognia! bo duszno nam tak,
I wszystkie się drogi krzyżują nam wspak,
I myśl nam odbiegła daleko od nieba,
A jej tu, na ziemi, na ziemi potrzeba!...

To znowu niespokojnemu śpiewakowi przyjdzie na pamięć pierwsza jego młodość, szczęśliwa, spokojna i cicha jak gładka szyba jeziora...

Dziwno! — dawniej śniłem tyle!
Snułem marzeń nić —
Dzisiaj chciałbym choć na chwilę
Tak jak dawniej śnić...

Próżne zachcenia! choć pokój w około, w piersiach poety nie ma pokoju; więc daremnie woła:

Nie drżyj serce tak ku burzy —
Jak spokojnie tu!...
Szemrzą drzewa, fala wtórzy
Tej piosence snu.

Pragnienie jakiejś wielkiej, nieokreślonej burzy, takiej, która przerywa gnuśną ciszę, przemaga. O jakże wtedy uroczym dlań ten widok grozy w przyrodzie!

Bije groźna błyskawica...
Cicho!... błyska znów!...
Ho! przyrody to prawica
Rzuca miljon słów.
Burzo dzika! hej z wiatrami
Igra moja myśl,
Od nich dziksza — a ty skrami
Chmuro, słowa kryśl!

Więc znowa żądza czynu, wielkiego jak burza i wspaniałego jak burza — ale jakiego?... Poeta jeszcze nie znalazł drogi... A tu nietylko on sam, ale i rówieśni druhowie pożądają odeń pieśni wielkiej, wstrząsającej nakształt gromu tę głuchą ciszę, ten bezczyn snu... Prawdziwa rozpacz!

Wy chcecie pieśni, o bracia moi!
Jakąż szalony piosnkę wam da?
Rozpacz mi struny na lutni stroi —
Zanucić trudno, o bracia moi,
Bo pieśń rozpaczy na cóż się zda?...

Potrzeba było szczęśliwej okoliczności, ażeby któryś z wielbicieli poety, dobrem przeczuciem wiedziony, wskazał mu tę pożądaną drogę. Na przytoczony dopiero co ustęp z wiersza p. n. *Do braci, trzy struny* odpowiada w temże samem piśmie tj. w *Nowinach* jakiś nieznajomy między innemi w sposób następujący:

Rzuć miłości czcze mamidła,
Wszak tyś orlę! rozwiń skrzydła,
Po nad ziemię skieruj lot!
Wskrześ z grobowców dziady nasze,
Niech usłyszy plemię Lasze
Zapomnianych bitew grzmot!...

Słuszne to było ze wszech miar przypomnienie. Z liczby wielkich mocarzy poetycznego słowa nie mieliśmy w owej chwili, o której mówimy — przynajmniej tu u nas — nikogo, któryby był gotów budzić „grzmot zapomnianych bitew,“ lub przynajmniej cucić społeczeństwo z gnuśnej ciszy letargu... Wincenty Pol wydał wprawdzie właśnie przepyszny rapsod z przeszłości, *Mohorta*, ale zamieszkał w Krakowie i wpływ najświeższych jego utworów nie tak rychło, a przynajmniej nie tak bezpośrednio udzielał się naszym stronom. Kornel Ujejski, choć zawsze z nami związany, umilkł po ogłoszeniu *Melodyj biblijnych*. Napróżno wzywał go wtedy Zacharjasiewicz do pieśni — napróżno prawił mu:

Czyż już i prorok w sile upada,
Że już nie woła: biada wam! biada!...
O nastrój harfę!... śpiewaj jak dawniej!...

Wezwanie to pozostało bez skutku. Śpiewak *Skarg Jeremiego*, nie czując natchnienia w piersi swojej — milczał. Ale naród potrzebował pieśni, któraby wstrząsała siłą nakształt gromu, a przebiegała przez wszystkie serca jak iskra elektryczna; naród żądał pieśni, wyrosłej z gruntu przeszłości, a dotykającej potężnemi skrzydłami swemi miłościwie a proroczo wielkiej przyszłości. Komuż tedy przypadło uderzyć w struny owej potężnej harfy?... Prawda, że geniuszom tylko od Opatrzności dano tworzyć takie pieśni — ale w braku geniuszów mogą i talenta poetyczne zastąpić narodowi choćby na chwilę przewodnie gwiazdy.

Wspomniany przyjacielski odzew postawił poetę naszego od razu na właściwym gruncie.

Wskrześ z grobowców dziady nasze!
Niech usłyszy plemię Lasze
Zapomnianych bitew grzmot!...

Wezwanie to istotnie nakształt grzmotu wstrząsnęło całą istotą poety; poczuł on się też teraz w obowiązku zstąpić do tradycyj pamiątek ojczystych, ażeby piękniejsze ich postacie odsłonić oczom społeczeństwa, i z przeszłości dla przyszłości wydobyć plenne ziarna. Powie nam ktoś na to: wszakże w *Chorążym* i w *Charcie Watażki*, a także w tej i owej z drobniejszych poezyj dotknął już nasz poeta tego gruntu, na który go dopiero teraz właśnie prowadzimy. Na taki zarzut odpowiedzielibyśmy, że oprócz jednego *Tymoleona z Koryntu*, którego historyczność nie podlega wątpliwości, w żadnym innym utworze Romanowskiego, aczkolwiek jeden lub drugi mógł się kusić o uchwycenie pewnych rysów z przeszłości ojczystej, nikt przecież nie dojrzy rzeczywistych postaci historycznych! Ani Chorąży, ani Starosta, ani wreszcie Watażka nie mają za sobą żadnego dziejowego świadectwa, zawartego chociażby w najdrobniejszym jakim szczególe kronikarskim lub pamiętnikowym; toż samo także rozumieć należy o owych walkach i utarczkach z Tatarami, które tam opisano. Historyczność opowieści, o których mówiliśmy, jest więc tylko pozorna, a poeta posługiwał się głównie własną wyobraźnią.

Do skarbnicy przeszłości narodowej, po rzeczywiste jej klejnoty, sięgnął Romanowski dopiero w tym następującym okresie. Były to już czasy przedzierzgnienia się *Nowin* w *Dziennik literacki*. Pisma tego był nasz poeta również stałym współpracownikiem, jednym z najczynniejszych.

* *

(C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

Szczęściem — do rzadkich wypadków należy ta niezwykła doskonałość zmysłów, inaczej mielibyśmy jeszcze większą ilość jasnowidzących. Daleko częściej nadczulność wywołana przez słabe nawet podrażnienie nerwów, przedstawia się jako nieprzyjemne uczucie. Podczas gdy u osób zdrowych tylko niezwykle silne szmery, nadzwyczajnie silna woń, bardzo gorzkie lub ostre substancje, zbyt wielkie światło i bardzo jaskrawe barwy rażą ich zmysły, to histeryczki skarżą się, iż nie mogą znieść, gdy się do nich głośno mówi i każą rozmawiać szeptem. Często wyrzucają wszystkie kwiaty z pokoju, nie mogąc znieść ich zapachu, lub odsuwają potrawy zaprawione najmniejszą ilością korzeni. Wiele z nich nie znosi jasności dziennej, i dla tego prawie ciągle zamykają okienice w pokoju; inne znowu nie znoszą czerwonej barwy i t. d.

Pewne rzeczy, które ludziom zdrowym sprawiają odrażliwe uczucie, są przyjemne dla histeryczek; przeciwnie zaś te, które dla człowieka zdrowego są miłe, rażą ich zmysły. Tak naprzykład histeryczki lubią czasem woń spalonych piór, assafetydy, a nie znoszą zapachu róż, fiołków i narcyzów. Niektóre chore czują ciągle pewną woń, lub pewien smak; wiele skarży się na szum w uszach i latanie muszek i ptaków przed oczyma. Najwięcej zadziwiającą jest okoliczność, że obok zjawisk spotęgowanej czułości i chorobliwego pobudzenia nerwów czucia, występuje równocześnie bezczułość na większych lub mniejszych przestrzeniach ciała. Miałem w leczeniu jednę dziewczynę, u której na ciele było mnóstwo miejsc czułych obok zupełnie nieczułych. Dość było dotknąć lekko, lub dmuchnąć na pierwsze, żeby chora wstrzęsła się z bolu, wtedy gdy drugie były do tego stopnia nieczułe, że można było kłuć je, rznąć i palić, a chora nic nie czuła. Granice tych różnorodnych miejsc oznaczyłem kamieniem piekielnym, pierwszych było 23, a drugich 18; forma ich była nieregularna, a co najdziwniejsza, przestrzenie zajęte jednym i tym samym nerwem, miały i jedne i drugie sfery.

W ogóle bardzo jest trudno przeświadczyć się, czy histeryczka cierpi bezczułość, czyli też udaje. Tego rodzaju kaprysy należą do codziennych zjawisk, szczególnie chęć oszukania lekarza. Do kliniki chorób kobiecych w Strasburgu przyniesiono dziewczynę ze sparaliżowanemi nogami. Profesor Hirtz ordynujący na klinice, przyszedłszy do łóżka chorej zaczął prelekcję, wyliczając uczniom wszystkie możliwe przyczyny porażeń i różnicę objawów. Badania jednak i wywiady okazały, że żadna z wymienionych przyczyn nie mogła być zastosowana do chorej. Zdumiony profesor nachylił się do mnie i zapytał z cicha, czy bym nie miał z sobą igły lub szpilki. Podałem mu wielką szpilkę. Profesor badając dalej chorą zbliżył się do niej, i zupełnie niespodziewanie utopił szpilkę w mięśniach nogi aż po samą główkę, ale chora ani drgnęła. Przyniesiono rozpalony węgiel i położono go na nodze; skóra zaczerwieniała, utworzył się bąbel, spalenizna czuć się dała, lecz chora upewniała, że nawet ciepła nie czuje.

— Panowie! rzekł profesor, opowiedziałem wam wszystkie znane mi przyczyny porażeń; tu nie znajdujemy żadnej z nich, lecz porażenie istnieje widocznie. To tylko dowodzi, że ars longa sed vita brevis. Będziemy ją leczyć elektrycznością, tokiem przerywanym.

Ponieważ byłem eksternem tego oddziału, na mnie więc przypadła ta czynność: elektryzowałem chorą codziennie trzy razy w ciągu całego miesiąca bez skutku. Co było najdziwniejsze, że wszystkie mięśnie doskonale odpowiadały na działanie elektryczności, i kurczyły się zupełnie jak zdrowe. Jeden z paryskich profesorów w przejeździe przez Strasburg, odwidził klinikę, i gdy zbliżył się do łóżka chorej pr. Hirtz opisał mu cały przebieg choroby i radził się, jak oznaczyć przyczynę choroby i jak ją leczyć. Po długiej naradzie w obecności chorej, zdecydowano, że

przyczyna choroby jest niewiadomą, i że należy leczyć dalej elektrycznością. Gdy odstąpili od łóżka, chora roześmiała się na głos. Na zapytanie o przyczynę śmiechu, chora dotychczas sparaliżowana, skoczyła z łóżka na równe nogi na ziemię i chodzić zaczęła. Można wyobrazić sobie, jakie było ogólne zdumienie. Chora objaśniła potem, że ją niezmiernie bawiło, jak takie znakomitości lekarskie nie mogą poznać się na udawaniu, i dla tego znosiła kłucie, szczypanie i palenie ciała, nie okazując żadnego bolu.

Niemayer powiada, iż widział chorą, która nie skrzywiła się wcale, gdy jej zrobiono dwa pasy rozpalonem żelazem na plecach, — a jednak w tej chorej nie było żadnego powodu podejrzywać bezczułość grzbietu.

Do wszystkich tych chorobliwych objawów pobudzenia nerwów skóry i nerwów zmysłowych, dołącza się nieraz nieprawidłowe uczucie w organach wewnętrznych. Podczas gdy w zwykłym stanie zdrowia nie czujemy bicia serca, nie uważamy czynności płuc, żołądka, kiszek i nerek, histeryczki doznają różnych najdziwaczniejszych wrażeń o stanie i czynności swych trzewiów. Prawie wszystkie chore skarżą się na bicie serca, chociaż uderzenie jego nie jest wzmocnione, ani tętno niezwykle pełne i twarde. Tak samo rzecz się ma z oddychaniem: chore skarżą się niekiedy na nadzwyczajny brak powietrza, a jednak nie ma żadnych zmian w płucach, ani we własności krwi, które by wytłumaczyły powiększoną potrzebę oddychania. Dalej, prawie wszystkie histeryczki skarżą się pomimo najlepszego trawienia na uczucie ciążenia i pełności w żołądku, na ciągłe pragnienie, i opowiadają rozmaite historje o uczuciach jakich wewnątrz doznają. Dostają kurczów nerwowych tak gwałtownych, że nieraz przybierają postać kurczów tężcowych lub epileptycznych, często dostają śmiechu serdecznego, płaczu, ziewania, czkawki lub kaszlu. Czasami występują histeryczne porażenia, które w pewnych wypadkach zdają się pochodzić z nadmiernej troskliwości i braku decyzji w chorych do zrobienia poruszenia członkiem, gdyż każdy człowiek dopóki jest mocno przekonany, że nie może wykonać pewnego ruchu, w samej rzeczy nie jest zdolnym wydać potrzebnej pobudki do wykonania poruszenia. Porażenie takie pochodzi z chorobliwej wyobraźni. Niemayer opowiada, iż miał chorą, która dostała porażenia ręki, tak że jej otworzyć nie mogła. Od dawna, z różnych stron zapewniano ją, że przy zastosowaniu elektryczności zdrowie odzyska, umysł więc jej był żywo zajęty nadzieją w pomyślny skutek tego leczenia. Skoro po zastosowaniu elektradów otworzyła się jej ręka, zamknięta od wielu tygodni, wywarło to takie silne wrażenie na chorą, że od tej chwili porażenie polepszało się i po kilku tygodniach znikło zupełnie. Każdy środek, do którego chora miała by podobne zaufanie, byłby miał podobny skutek.

Przejdźmy teraz do skreślenia niektórych zboczeń psychicznych. W początkach choroby zauważać możemy szybką zmianę humoru, rażące przejścia od szalonej wesołości do głębokiego smutku, które można wytłumaczyć cielesną nadczułością, łączącą się z psychiczną nadczułością. Jak wrażenia zmysłowe silnie działają na histeryczki, tak też i wyobrażenia duchowe wywołują w nich uczucie wesołości lub niezadowolenia. Te ostatnie zdarzają się częściej i z czasem rozwijają się w trwałe smutne usposobienie. Chore są ustawicznie bolejące i smutne, rozpaczają nad swym losem nawet wtedy, gdy posiadają wszystko co może je uszczęśliwić. Ustawiczne bez powodu narzekanie i płacz, powoli osłabiają współczucie osób otaczających, które stają się obojętnemi na ich skargi lub dają im do poznania, że się im to przykrzy. Z powodu tego małego współczucia, rozwija się prawie zawsze u histeryczek, skłonność do przesady, do grania komedji, skłonność, która będąc sama objawem chorobowym, pozbawia je reszty litości, jaką dla nich jeszcze miano. Nie jest więc rzeczą wcale dziwną, jeżeli chore poddają się najboleśniejszym operacjom, a to w celu zwrócenia na siebie uwagi i wzbudzenia współczucia, jakie dla nich stracono. Widziano naprzykład dziewczynę histeryczkę, która tak długo drażniła sobie ranę skórną środkami żrącemi, aż musiano jej odciąć członek, a skoro rana po amptuacji miała się goić, na nowo zaczęła ją drażnić.

Dar, który posiadają histeryczki do wynajdywania takich stanów, przez które mają nadzieję wzbudzić współczucie i opiekę osób otaczających, jest nie do uwierzenia, i często trudno jest odróżnić prawdę od fałszu.

W 1869 roku do kliniki chorób kobiecych profesora Schützenberga w Strasburgu przyjętą została 25 letnia panna Zofja P. Pełniłem wtedy obowiązki interna i musiałem przed przyjściem profesora zbadać dokładnie każdą nowoprzybyłą chorą i zdać raport szczegółowy o jej stanie. Chora skarżyła się na ból w piersiach i w sercu. Po bardzo ścisłem badaniu przekonałem się, że nie było żadnej zmiany chorobowej. Raportując więc profesorowi, powiedziałem, że nowa chora zdaje mi się, że udaje chorobę, bo nic nie znalazłem. Profesor nic nie odpowiedział, lecz przyszedłszy do sali otoczony słuchaczami, wezwał mnie do egzaminowania chorej w swojej przytomności. Zacząłem więc badanie lege artis. Profesor nie przerywał, a gdy skończyłem zapytał — jakie jest moje rozpoznanie. — Panienka nie jest chorą, a tylko udaje odpowiedziałem. Profesor zwrócił się do słuchaczy i rzekł: „Nigdy moi panowie w prywatnej praktyce nie objawiajcie tak kategorocznie waszego sądu, bo częściej możecie omylić się mówiąc, że człowiek jest zdrów zupełnie, jak że jest on chory. Omyłka zaś taka może zgubić na zawsze reputację lekarza. Chorą zostawić pod obserwacją.“

Przy wieczornej wizycie siostra miłosierdzia powiedziała mi, że chora dostała straszliwych wymiotów, niezmiernie cuchnących. Kazałem pokazać mi naczynie, i okazało się, że wyrzucona materja była kałem. Nie było więc wątpliwości, że chora cierpiała na bezdrożność przewodu pokarmowego, stan znany w życiu codziennem „miserere“. Można sobie wyobrazić, jak mnie to zawstydziło po mojem rannem rozpoznaniu i uwadze profesora.

Na drugi dzień przy rannym raporcie opowiedziałem ze skruchą, co się stało. Profesor widząc moje zmięszanie i zakłopotanie nie robił mi wymówek, lecz powiedział tylko: „Będzie to nauką dla pana na przyszłość, jak należy być ostrożnym z wygłaszaniem zdania swego w sprawie zdrowia.“ Przyszedłszy do sali sam zbadał chorą bardzo dokładnie, kazał pokazać sobie materje wyrzucone, a uderzony tą okolicznością, że wymiociny zupełnie były przetrawione, nic nie zapisał chorej lecz kazał po cichu siostrze miłosierdzia nie spuszczać chorej z oka, nie okazując tego, i uważać na wszystko co będzie robić.

W czasie poobiedniej wizyty, dowiedziałem się, że chora znowu wymiotowała kałem. Gdym chciał iść do niej, siostra miłosierdzia przyszła do mnie z zapytaniem co ma robić z chorą: czy ją natychmiast wypędzić, czy zostawić do przybycia profesora. — A to dla czego? zapytałem. — Mais cest une cochonne! posługaczka podpatrzyła jak ona zjadała własny swój kał, żeby wywołać wymioty charakteryzujące „miserere.“

W obec takiej odwagi, człowiek łatwowierny może się łatwo dać złapać. Z zasady należy więc największem niedowierzaniem przyjmować skargi histeryczek, że pokarmów wcale nie przyjmują, że wymiotują krwią, pijawkami, jaszczurkami i t. d., lub że leżąc w łóżku po lat kilka, nie mogą z niego wstać. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

XII.

Budowa ptaków.

„Presentement que toutes exceptions disparaissent, on peut proclamer loi de la nature: *l'unité* de composition organique pour tous les animaux vertébrés.“

E. Geoffroy Saint-Hilaire.

„La nature travaille constamment avec les mêmes materiaux, elle n'est ingenieuse qu'à en varier les formes.“

Tenże.

Mózg ptaka, ten organ, który nazywamy siedliskiem inteligencji nie jest tak małym, jakby to z pozoru mogło się wydawać; przeciwnie u niektórych ptaków widzimy go większym stosunkowo aniżeli u człowieka, u innych znów np. u *brodzących* (grallae) jest nadzwyczaj mały. Im pojętniejszy ptak, tem większą objętością mózgu się odznacza. *Gęś* (anser cinereus) i *indyk* (meleagris gallopavo), te dwa stworzenia, których rozumem nie można się zbudować, mają mózg mały, *sowa* (strix) i *sokół* (falco), te zuchwalce drapieżne, które dla zdobycia sobie żeru potrzebują często cichego podstępu, zmyślności i pewności w wyborze środka do osiągnięcia naprzód obmyślanego celu, odznaczają się wielką objętością mózgu, względnie do wielkości swojego ciała. Lecz właściwością mózgu wszystkich prawie ptaków jest mały rozwój jego zwoi, gładka lub prawie gładka jego powierzchnia, a nadto brak ciała stwardniałego (corpus callosum), sklepienia (fornix) i przegrody przezroczystej (septum lucidum) nie może dać mu tej doskonałości, jaką mózg czworonożnych się odznacza. Pomimo tego jednak mało zwierząt posiada tak wybornie rozwinięty mózg jak *papugowate* (psittacidae), to też i zmyślność ich jest tak wielką, że z pewnością wyżej stoją od wielu czworonożnych np. od *przeżuwających* (ruminantia), *workowatych* (marsupialia) i t. p. a nawet zajmują pomiędzy ptakami to samo miejsce pod względem zmyślności, na jakiem pomiędzy ssącemi stoją czwororęczne. Twierdzenie zaś Buffona, że papugi nie mają pamięci, inni naturaliści stanowczo odrzucają, utrzymując że ich umysłowość kształci się odpowiednio do walki jaką staczają z przeszkodami, do wychowania jakie otrzymują, do namiętności, które rozbudzone, nadają kierunek myśli ptaka.

Tu musimy znowu o błędzie wspomnieć, jakiego przy badaniu zwierząt często się dopuszczamy mianowicie, iż chcemy wszystkie zwierzęta do swoich potrzeb, do swojej budowy zastosowywać, z sobą je porównywamy, jakby zwierząt warunki bytu z naszemi porównywać było można.

Wszystkie ptaki tak dadzą się w krótkich słowach scharakteryzować: dziób i pióra, dwa skrzydła, dwie nogi, o dwóch komórkach serce i dwóch przedsionkach, nie mają warg i zębów widocznych, muszli usznej zewnętrznej (oprócz sów), mięsistego ogona, języczka, przepony i moczowego pęcherza. Krew ich gorąca najmniej 35° a niosą jaja daleko twardszą okryte skorupą, aniżeli wszystkie inne jajorodne zwierzęta. To są główne prócz dawniej wymienionych cech, po których gromadę ptaków nietrudno rozpoznać, resztę pomniejszych nie chcę tu przytaczać, ponieważ suche opisy bez wzorów przed oczyma, przedstawiłyby czytelnikowi tylko niewyraźny i mało zajmujący obraz, który w umyśle bez natychmiastowego sprawdzenia zostawiłby po niedługim czasie tylko mały ślad po sobie, a może nawet żadnego.

Natura dając ptakom skrzydła, powiedział Buffon udzieliła im przywilej wolności i swobody. I tak też jest rzeczywiście — ich ojczyzną napowietrzne przestworza, gdzie wolno i swobodnie bujają. Przeznaczeniem ich — ruch. Mózg nigdy tak wielki nie jest, aby ciężarem swym przeszkadzać mógł ptakowi wzbijać się w te ponadziemskie przestworza a móżdżek, źródło ruchu, znacznie rozwinięty w środkowej swej części, którą anatomowie robakiem nazywają. W mleczu paciorzowym ptaka więcej jest gwiazdowatych komórek, których zadaniem do kurczliwości mięśnie pobudzać — aniżeli u innych zwierząt kręgowych, co wszystko bez kwestji z lotem ich w ścisłym pozostaje związku. Prócz tego, ciało ptaka wykrojone jest w kształt zdolniejszy do przerzynania powietrza, niżeli ciało wszystkich innych latających zwierząt, lepiej niż ryb z wielkiemi piersiowemi płetwami, lepiej niż owadów, które mają skrzydła, lepiej niż nietoperzy, smoków itp. Ptaków kręgi grzbietowe nie stanowią giętkiej i podajnej linji jak u ssaków a to w celu, aby silniej podpierały łopatki; kość ich piersiowa rozszerzona nakształt pancerza ma wypukłą na środku krawędź czyli grzebień, do którego przyczepione są wielkie mięśnie piersiowe do poruszania skrzydeł przeznaczone, a z łopatką połączone obojczykiem w kształcie V.

Skrzydło ptaka, — to główne narzędzie jego lotu, jest zmodyfikowaną przednią kończyną każdego ssaka lub ręki człowieka, a składa się z *ramienia, przedramienia* i *ręki*, przykrytych *lotkami* czyli długiemi piórami, za pomocą których ptak uderzając o powietrze i sam napełniwszy się niem, wzbija się wysoko w nieznane nam sfery. Do kierowania się w tym burzliwym oceanie atmosfery służy mu ogon, dwunastu pokryty *sterówkami* a krótsze pióra, które okrywają lotki i sterówki z wierzchu i ze spodu, zwą się *pokrywami*.

Tak zbudowanemu zwierzęciu przypatrzmy się, z jaką łatwością puszcza się ono w zawody z panującemi w powietrzu wiatrami — używa swobody i wolności, jakich żadne z żyjących na ziemi stworzeń nigdy nie zaznało. Pamiętajmy, że jak balon napełniony powietrzem wewnątrz, w piórach i pomiędzy piórami — w każdej próżni, wszędzie gdzie może tym żywiołem się nasyca i weń się zaopatruje, aby być lżejszym gatunkowo, aby módz wyżej wzbić się w te przestworza i chyżej po nich szybować! Oddech szybki, krew gorąca, suknia puchowa i rozszerzone, bo ogrzane żarem wewnętrznego jego ogniska powietrze, takim go lekkim czyni, iż jak statek napowietrzny unosi się coraz wyżej i wyżej, w najodleglejsze atmosfery kraje. Patrzmy jak się zniża, obraca, pędzi prosto jak strzała, to znów zbacza i w przeróżne desenie przeszywa powietrze; już, już na ziemię spada i prawie jej się powierzchni dotyka, to znów nagle jak kula działowa chmury przebija i kryje się nam z przed oczu a tam, gdzie wzrok nasz dosięgnąć go nie może — w tych bezgranicznych przestrzeniach lazurowego oceanu igra, buja i kołysze się swobodnie! Patrzmy jak dumny ten obywatel przezroczystej swej ojczyzny podczas burz i nawałnic, slot i uraganów, które ziemskich prześladują mieszkańców, ciepłym swym i miękkim odziany puchem i ogniem własnego życia ogrzany, drwi sobie z zimna przejmującego w tak wysokich sferach, i nie lęka się burz, które pod nim z wściekłością uderzają o ziemię! Tam bezpieczny kryje się przed człowieka srogością, od jego przemocy ucieka, od sideł zdradzieckich, przymusu niewoli lub domownictwa. Tam swobodny, niezależny w pośród swoich współbraci żyje szczęśliwie!

Im ptaki lepiej, doskonalej do lotu są zorganizowane, tem większemi wyznawcami są swobody, tem czczą więcej wolność, tem przywiązańszemi są synami niepodległości, dzikszemi na samo wspomnienie niewoli, i niepozwalającemi się ugłaskać. *Jaskółka* (hirundo) najlepszy z pośród tych napowietrznych żeglarzy, albo *jerzyk* (cypselus apus) nieodrodny jej brat po locie, nigdy w klatce zamknięte nie dadzą się chować. A im te istoty więcej w powietrzu bujając żyją, tem skrzydła mają w odwrotnym stosunku do nóżek, tj. tem krótsze te ostatnie i prawie bezużyteczne, a z niemi i ogon, a dłuższe za to posiadają skrzydła. *Jerzyki* (cypselidae), *kolibry* (trochilidae), *fregaty* (tachypetes aquitus), *mewy* (larus ridibundus) i *pietrzele* (procellaria glacialis) najlepszym tego są dowodem, gdy przeciwnie *strusie* (struthio camelus) *pingwiny*, czyli *bezlotki* (aptenodytae) i wszystkie *krótkoskrzydłe ptaki* (urinatores) mocne i wielkie posiadają nogi, małe zaś skrzydła, lub tylko ich szczątki, które podnoszą biegając, i albo źle, albo zupełnie nie latają. *Alki* (alcidae) tak zwinnie pływające, małemi tylko są opatrzone skrzydłami, nie mogącemi ciała ich utrzymać w powietrzu. Wysoko-nogie grzebiące i brodzące ptaki (rasores et grallae) wybornie biegają, lot ich jednak niezgrabny i ciężki. Słowem nie omylimy się, jeżeli utrzymywać będziemy, iż im mniej ptaki zdolne są chodzić, tem lepiej latają, że na koszt nóg skrzydła się u nich rozwijają, i odwrotnie.

Jeżeliś częste odbywał podróże czytelniku, to najmilsze tych podróży wspomnienia stanowią bezwątpienia przyjemności, jakich doznawałeś, gdy Ci przed oczyma tysiące nowych przesuwało się przedmiotów—największa tych podróży przyjemność była ta rozmaitość widoków, wzrok twój bawiących. Lecz o ileż większą być musi przyjemność ptaka, który z niemogącą mu na ziemi dorównać szybkością przelatuje z kraju do kraju, i niezmęczony w swej podróży, coraz to nowe ogląda rzeczy. Lot ptaka też dawno dla ludzi zawistnem jest zjawiskiem, od najdawniejszych już czasów człowiek chce go naśladować, lecz dotąd zawsze jak Ikar palącego słońca promieniami piórka swych skrzydeł osmaliwszy, spada na ziemię kaleką. Szybkość a obok niej wytrzymałość w locie ptaka jest rzeczywiście podziwienia godną, jej ani angielski wyścigowiec, ani sybirski renifer ani żaden z ziemi mieszkańców nie może dorównać. *Kania* (falco milvus) ćwierć mili przebywa w minucie, a dwieście do trzechset mil na dzień. Sokół Henryka II. francuskiego króla, z Fontaineblau w dzień jeden na Maltę przyleciał; widziano *rybitwy*, czyli *mewy ifregaty*, które kilkadziesiąt mil codziennie dla żeru odbywać musiały. Nasze *jaskółki oknówki* (hirundo urbica) w dziewięć dni od nas do Senegalu przylatują, a znaną jest szybkość z wojny ostatniej *gołębi pocztarzy* (culumba tabellaria), tych sławnych skrzydlatych listonoszów, znana ich zasługa jaką oddały.

Z szybkością lotu w ścisłym pozostaje związku ich wzrok. *Orzeł* nasz *rzecem* zwany (aquila chrysaetos), ten największy i najwspanialszy, a zarazem najzuchwalszy i najsilniejszy z krajowych ptaków rabuś, obejmuje zakres horyzontu obszerniejszy przynajmniej dziesięć razy aniżeli człowiek, a to samo o *sępie* (vultur) i *sokole* (falco) z pewnością powiedzieć można. Bystre oko *jaskółki* tam dojrzy komara, gdzie mybyśmy ją zaledwie dopatrzyć mogli, a *kania myszołów* (falcobuteo) z wysokości dla nas nieprzejrzanej, rzuca się z błyskawicy szybkością na płynącą po wodzie nieżywą rybę, lub na mysz, która przed nagłym napadem rozbójnika skryć się do nory nie zdoła.

To też oko ptaka inaczej jak nasze jest urządzone. Oprócz dwóch powiek zwyczajnych, zasłania się ono przed rażącym słońca blaskiem, na który tak często jest wystawionem, jeszcze trzecią przezroczystą powieką—migówką, a nadto uzbrojone będąc w pewnego rodzaju przyrząd błoniasty—grzebieniem zwany, do szybkiej zmiany punktu widzenia jest zdolne. I słuch u ptaków jest zmysłem bardzo rozwiniętym. Za jego bowiem tylko pomocą talent ich muzykalny może się kształcić, za jego pomocą po głosie rozpoznać mogą pisklęta matkę. I jak wzrok ich z lotem ściśle jest związanym, tak też słuch z głosem się łączy.

Co do węchu ptaków, o nim niezgodne panują opinje ornitologów. Jedni powonienie u nich za bardzo przytępione uważają, wnosząc z małego rozwoju nerwów węchowych i z tego, że po większej części ptaki nie posiadają nozdrzy nad dziobem, tylko pod tym ostatnim, tj. w jamie gębowej, kanał węchowy, inni jak Menault chcą objaśnić węchem wiele szczególnych zdolności ptasich np. powrót gołębia pocztarzą do domu, wędrówki coroczne itp.

Siedliskiem dotykania a raczej jego narządem u ptaka są palce, któremi on maca i chwyta, a zmysł ten nie jest zbyt dobrze rozwiniętym, skóra bowiem pod palcami jest grubą i twardą. Wszystkie ptaki nie są wybredne w pokarmach — połykają co się zdarzy, nie żując i nie smakując wcale, a wszystkie jedzą dużo dla podtrzymania procesu oddychania, niektóre zaś, jak żyjące rybami *żaglościgi, mewy, gapie* czyli *głupy* (sula alba) *alki* i wszystkie *skrzydłonury* (alcidae) nie nasycone są w swem obżarstwie; nie dosyć, że ustawicznie napychają się rybami i ślimakami, lecz pochłonąwszy zdobycz, jeżeli ujrzą nową, dla której w żołądku swym miejsca już nie ma oddają ją napowrót, byle tylko żadnej nie pr[illegible] puścić. Gdy zaś zgłodniałą jest ta horda niec[illegible]

stych i obrzydliwych ptaków, to rzuca się jak wściekła na wszystko co zdobycz dla nich stanowić może, i często na brzegach północnych mórz w pośród nawałnic widać jak uwijają się one i chciwy wzrok w łono wód zapuszczając, wpadają na olbrzymie wieloryby, żywe ich mięso rozszarpują, albo wyrywają kawały tłustości ze zdechłych fok. Wtedy przeraźliwe ich krzyki razem z ryczeniem bałwanów i grzmotem piorunów zmięszane, tak okropny przedstawiają obraz zniszczenia, iż ten nieprzyzwyczajonego stałego lądu mieszkańca zgrozą i strachem przejmuje!

Ptak stosownie do budowy swych nóg, czyli tylnych odnoży i skrzydeł, jest albo stałego lądu mieszkańcem, albo wód, lub powietrza. Odnoże ptaka składa się z uda, piszczeli i stopy, opatrzonej najwięcej czterema palcami, najmniej zaś dwoma, a może być opierzone aż do stopowego przegubu i wtedy jest krocznem, lub też z nagą piszczelą — brodne, czyli podkasałe. Kroczne odnoża względnie do układu czterech swych palców nazywają się skocznemi, chodnemi, siednemi itp. brodne zaś bieżnemi, pływnemi, rudelnemi itd. a każda z pomienionych nóg odpowiada gromadzie ptaków, które względnie do życia jakie prowadzą, takich właśnie nóg potrzebują. Z organizacją nóg w ścisłym jest związku budowa całego ptaka, a nadewszystko kształt dzióba, który również doskonale odpowiada potrzebom zwierzęcia.

CZASZA
Króla Thule
myśl
z
Goete'go.

Królowi Thule, po straconej lubej
Pomiątką czasza została się złota,
Dopóki życia nie dopełnił próby,
Póty zeń pijał kochanek sierota!
I pijąc nieraz, gdy z drogiem wspomnieniem
Minionych chwilek nazbyt się napieści,
Smętnem, posępnem zdjęty rozrzewnieniem,
Z napoju w czaszy zawartym strumieniem
Mięszał gorzkie łzy boleści!

Gdy dlań z kolei przyszedł czas spoczynku,
Pomiędzy dworzan rozdzielił swe plony
Z wyjątkiem czaszy,— uczuć upominku —
Który cenniejszym sądził od korony.
Winem ją nalał, wypróżnił aż do dna,
I w morskie potem cisnął gdzieś otchłanie,
Zanim ją fala pochłonęła głodna
Oczy monarchy śmierć zawarła chłodna,
Zadrżał, upadł, już nie wstanie!

Czaro serdeczna! Do brzegów przed laty
Płomiennym uczuć nalana nektarem!
Czaro! co dawne chroniąc aromaty
Wspomnienia dzisiaj jesteś nam puharem!
Czaro! Kto z tobą rozłączył swe wargi,
Dla kogoś wyschła do kropli, do szczętu...
Temu już z losem nie wdając się w targi,
Żywot ten pusty opuścić bez skargi,
Bez łez, szemrań, bez lamentu!

Paryż d. 1 Grudnia 1875.

J. S. Chamiec.

Śmiać mi się każą.

Idę mą drogą, samotną, ciemną,
Z schyloną twarzą...
A różni, różni stając przedemną
Śmiać mi się każą!

Pląsa w około rzesza wesoła,
Pląsa wśród mroku—
Ganiąc zadumę mojego czoła
Ganiąc łzy w oku!

Roi się tłum ten przybrany w szychy
Gromadą gwarną;
Zowiąc oznaką głupstwa lub pychy
Mą szatę czarną.
Ganią tę duszę, jęczącą w cieśni
Pod życia strażą —
Ganią ból cichy sierocej pieśni,
Śmiać mi się każą!

Śmiać mi się każe dziewcząt gromada
W balowym stroju—
Śmiać mi się każe zbawienna rada
Synów spokoju!
Śmiechem mi każe bluźnić szydercа
Gdzie błogo marzą —
Nawet zabójcy mojego serca
Śmiać mi się każą!

I jedni drugich wskazując wzajem,
Śmieją się razem,
Że dziś ta ziemia, co była rajem,
Piekła obrazem!
Że dziś jej dzieci to same karły
Brzydkie i grzeszne;
Że ideały z suchot pomarły —
Czyż to nie śmieszne?

Świecie! ja jeszcze śmiać się nie mogę...
Pozwól łzom płynąć!
Pozwól mi skończyć zaczętą drogę,
Skończyć — i zginąć.
Pozwól mi donieść w osłabłej dłoni
Bożą pochodnię,
Do rąk mi zgubnej nie dawaj broni,
Bo spełnisz zbrodnię!

1876.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez
JULJUSZA VERNE
przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.
Tajemnica.
Rozdział I.
(Ciąg dalszy.)

(Zguba czy ocalenie? — Przywołanie Ayrtona. — Ważne pytanie. — To nie Duncan! — Statek podejrzany. — Środki ostrożności. — Okręt zbliża się. — Strzał armatni. — Dwumasztowiec zarzuca kotwicę w pobliżu wyspy. — Noc zapada.)

Już półtrzecia roku minęło było, jak nasi rozbitki napowietrzni wyrzuceni zostali na wyspę Lincolna, a dotychczas nie zdołali wejść w żadną styczność z resztą świata. Raz próbował wprawdzie korespondent skomunikować się ze światem za pośrednictwem ptaka, któremu uwiązał u szyi spisaną w krótkości wiadomość o zagadkowym ich losie, lecz na podobny traf nie można było liczyć na serjo. Ayrton tylko, wśród opisanych powyżej okoliczności, pomnożył liczbę członków tej małej osady. Aż tu nagle tego dnia — a było to 17. października — pojawili się niespodziewanie inni ludzie w pobliżu wyspy, na morzu zawsze dotąd pustem.

Nie podobna było wątpić! Był to w istocie okręt! Lecz czy popłynie, czy się zatrzyma? Pytanie to miało w przeciągu kilku godzin rozstrzygnąć się dla osadników.

Cyrus Smith z Harbertem, przywoławszy natychmiast Gedeona Spiletta, Pencroffa i Naba do dużej sali Pałacu Granitowego, uwiadomili ich o tem, co się dzieje. Pencroff, uchwyciwszy dalekowidz, przebiegł nim widnokrąg, i zatrzymawszy się na wskazanym punkcie, czyli na owej ledwie dostrzegalnej plamce odbitej na kliszu fotograficznym, zawołał tonem, nie zdradzającym szczególniejszego zadowolenia.

— Do kroćset djabłów! to w samej rzeczy okręt!

— Czy zbliża się ku nam? zapytał Gedeon Spilett.

— Nie podobna jeszcze nic orzec, odparł Pencroff, bo tylko maszty i żagle widać dotąd nad widnokręgiem, a ani kawałka pudła!

— Cóż począć teraz? — zapytał Harbert.

— Czekać — odparł Cyrus Smith.

I przez dość długi czas pozostawali osadnicy nasi w milczeniu, zatopieni w tysiącznych myślach, miotani tysiącznemi uczuciami, tysiącznemi obawami i nadziejami, które mógł poruszyć w nich ten wypadek — najważniejszy, jaki się wydarzył od czasu przybycia ich na wyspę Lincolna.

Prawda, że osadnicy nasi nie znajdowali się wcale w położeniu rozbitków wyrzuconych na jałową wysepkę, walczących z macoszą przyrodą o utrzymanie nędznego życia, pożeranych nieustannie tęsknotą do świata i ludzi. Pencroff i Nab zwłaszcza czuli się nad wyraz szczęśliwymi i bogatymi, i nie bez żalu opuściliby byli tę wyspę. Zresztą byli oni jakby stworzeni do tego nowego życia na tym kawałku ziemi, ich własnym przemysłem niejako ucywilizowanym! Lecz koniec końców okręt ten przynosił ze sobą wieści o świecie, a może mieścił w sobie kawałek ojczyzny, spieszącej na ich powitanie! Okręt ten wiózł ludzi im podobnych, więc łatwo zrozumieć, że na jego widok żywiej zabiły im serca!

Pencroff od czasu do czasu brał lunetę do ręki, stawał przy oknie, i z niezmierną uwagą śledził okręt oddalony jeszcze dwadzieścia mil na wschód. Osadnicy nie byli więc jeszcze w możności dania jakiegokolwiek znaku o sobie. Chorągwi wywieszonej nie podobna by było dostrzedz z okrętu, ani usłyszeć huku strzelby, ani ujrzeć ognia zapalonego.

Bądź co bądź, można było być pewnym, że wyspa ze sterczącą na niej górą Franklina, w żaden sposób nie ujdzie uwadze szyldwacha okrętowego. Mimo to jednak, czemuż by okręt miał do niej przybić? Wszak tylko ślepy wypadek mógł go zapędzić w tę stronę Cichego Oceanu, gdzie na mapie nie było żadnej wyspy, prócz wyspy Tabor, która także leżała zdala od dróg uczęszczanych przez statki kurjerskie z archipelagów polynezyjskich, Nowej Zelandji i wybrzeży amerykańskich!

W odpowiedź na te uwagi, który każdy sam sobie robił — zawołał nagle Harbert:

— Czy to nie *Duncan* może?

Duncan, jak wiemy, był to jach lorda Glenarvana, który wysadził był Ayrtona na wyspę Tabor i miał kiedyś po niego wrócić. Otóż wyspa Tabor nie była tak oddaloną od wyspy Lincolna, ażeby okręt, płynąc ku pierwszej, nie mógł po drodze zbliżyć się do drugiej. Dzieliło je tylko sto pięćdziesiąt mil na długość, a siedemdziesiąt pięć na szerokość.

— Trzeba uprzedzić Ayrtona — rzekł Gedeon Spilett, i natychmiast go tu przywołać. On jeden tylko może nam powiedzieć, czy to w samej rzeczy *Duncan*, czyli też nie.

Tego samego zdania byli wszyscy, korespondent udał się więc do przyrządu telegraficznego łączącego oborę z Pałacem Granitowym i zatelegrafował:

— Przychodź czemprędzej!

W kilka minut później ozwał się młotek telegraficzny, Ayrton odpowiedział:

— Przychodzę!

Poczem osadnicy śledzili dalej bieg okrętu.

— Jeżli to jest *Duncan* — rzekł Harbert, to go Ayrton pozna odrazu, bo jakiś czas płynął na nim.

— A jak go pozna — dodał Pencroff, to go to wzruszy niemało!

— W samej rzeczy — odparł Cyrus Smith, lecz Ayrton godzien już teraz wrócić na *Duncana*, a dałby Bóg, ażeby to rzeczywiście był jacht lorda Glenarvana, każdy inny okręt bowiem zdawałby mi się podejrzanym! Te strony Oceanu rzadko bywają uczęszczane, a ja się zawsze lękam odwidzin korsarzy malajskich!

— Będziemy się bronić! — zawołał Harbert.

— Bez wątpienia, moje dzieci — odparł z uśmiechem inżynier, lepiej jednak nie potrzebować bronić się wcale.

— Pozwólcie mi zrobić jednę uwagę — rzekł Gedeon Spilett.—Wyspa Lincolna nieznaną jest żeglarzom, gdyż nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Czyż więc nie sądzisz Cyrusie, że jest to jeden powód więcej, ażeby okręt, który odkryje niespodzianie nowy ląd, zbliżył się doń i zwidził go raczej, niżeli minął obojętnie?

— Niezawodnie — odparł Pencroff.

— I ja tak sądzę — dodał inżynier. A nawet godzi się twierdzić, że jest to obowiązkiem kapitana okrętowego zwidzić każdy ląd lub wyspę, nieoznaczoną na mapie, i podać o niej wiadomość. A taką właśnie jest wyspa Lincolna.

— Dobrze więc — rzekł na to Pencroff, przypuśćmy, że okręt tu przybije, że zarzuci kotwicę kilkaset sążni od wyspy, cóż wtedy poczniemy?

Na to pytanie postawiono tak niespodziewanie, zrazu nikt nie znalazł odpowiedzi. Dopiero Cyrus Smith, po pewnym namyśle, odparł zwykłym swym spokojnym tonem.

— Postąpimy sobie, przyjaciele moi, i postąpić powinniśmy w sposób następujący: Skomunikujemy się z okrętem, wsiądziemy na niego, i opuścimy tę wyspę, wziąwszy ją wprzód w posiadanie w imieniu Zjednoczonych Stanów amerykańskich. Później powrócimy tu z ludźmi, którzy się dobrowolnie do nas będą chcieli przyłączyć, założymy tu kolonję i przysporzymy tym sposobem Rzeczypospolitej amerykańskiej jednę pożyteczną stację w tych okolicach Cichego Oceanu.

— Hurra! zawołał Pencroff, i nie będzie to wcale lichy podarek! Kolonizacja jest już prawie ukończoną, wszystkie części wyspy mają swoje nazwy, mamy przystań naturalną, zapasy wody słodkiej, drogi, linję telegraficzną, warstat okrętowy, fabrykę — nie pozostaje więc nic, jak, tylko wpisać wyspę Lincolna do map jeograficznych!

— A jeśli nam ją kto zabierze podczas naszej nieobecności? zauważył Gedeon Spilett.

— Do kroćset djabłów! zawołał marynarz, raczej sam tu zostanę na straży, a jakem Pencroff, nikt mi jej nie ukradnie, jak zegarek z kieszeni gapiowi!

Przez całą godzinę niepodobna było orzec na pewno, czy okręt zbliża się do wyspy Lincolna, lub nie. Zbliżał się on jednak w samej rzeczy, ale jak był kierowanym, tego Pencroff nie mógł rozeznać. Bądź co bądź, ponieważ wiatr dął od strony północno-wschodniej, można więc było z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, że żagle zwrócone były ku prawej stronie okrętu. Zresztą wiatr pomyślny ułatwiał zbliżenie się do wyspy, a przy tak spokojnem morzu, można to było uczynić bez obawy, pomimo że głębokość wody nie była oznaczoną na mapie.

Około godziny czwartej — w godzinę po otrzymanem wezwaniu — przybył Ayrton do Pałacu Granitowego. Wszedłszy do dużej sali, rzekł:

— Jestem na wasze rozkazy, panowie.

Cyrus Smith wyciągnął do niego rękę, jak to zwykł był zawsze czynić, i przyprowadziwszy go do okna, rzekł:

— Prosiliśmy cię tu, Ayrtonie, dla bardzo ważnej przyczyny. Okręt jakiś znajduje się w pobliżu wyspy.

Ayrton zrazu pobladł niezmiernie, i wzrok jego zamglił się na chwilę. Poczem, wychyliwszy się przez okno, przebiegł okiem widnokrąg, lecz nic nie dostrzegł.

— Weź do ręki ten dalekowidz, rzekł Gedeon Spilett, i patrz uważnie, być może bowiem, że to *Duncan* wraca, by cię odwieść do ojczyzny.

— *Duncan!* wyszepnął Ayrton. Tak rychło!

To ostatnie słowo jakby mimowolnie wymknęło się z ust Ayrtona, który, powiedziawszy to, sparł głowę na obu rękach i stał nieruchomie.

Więc dwadzieścia lat wygnania na odludnej wysepce nie wydawało mu się jeszcze karą dostateczną? Grzesznik pokutujący nie czuł się jeszcze rozgrzeszonym, bądź to we własnych oczach, bądź w oczach drugich!

— Nie! zawołał, nie! to nie może być *Duncan.*

— Patrz uważnie, Ayrtonie, rzekł na to inżynier, trzeba bowiem abyśmy naprzód wiedzieli czego się trzymać.

Ayrton wziął do rąk lunetę i zwrócił ją we wskazaną stronę. Przez kilka minut śledził widnokrąg, nie ruszywszy się, nie wyrzekłszy jednego słowa. Poczem odezwał się:

— Jest to w samej rzeczy okręt, ale ja wątpię, ażeby to był *Duncan.*

— Czemużby to nie miał być on? zapytał Gedeon Spilett.

— Dlatego, bo *Duncan* jest jachtem parowym, a ja nigdzie nie dostrzegam znaku dymu, ani nad okrętem, ani obok niego.

— A może płynie tylko samemi żaglami? zauważył Pencroff. Wiatr ma pomyślny, a będąc tak daleko od wszelkiego lądu, ma powód oszczędzać węgla.

— Może pan masz i słuszność, panie Pencroffie, odparł Ayrton, być może że zagasili ogień w maszynie. Niech się więc trochę okręt zbliży do brzegów, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Po tych słowach Ayrton usiadł w kącie dużej sali i siedział tam w milczeniu. Osadnicy rozprawiali dalej o nieznajomym statku, lecz Ayrton nie mięszał się więcej do ich rozmowy.

Wszyscy znajdowali się w usposobieniu, które nie pozwalało im jąć się jakiejkolwiek roboty. Gedeon Spilett i Pencroff byli szczególnie rozdrażnieni, chodzili z miejsca na miejsce, nie mogąc chwili ustać ani usiedzieć spokojnie. Harbert uczuwał raczej ciekawość. Nab jeden tylko zachował zwyczajny swój spokój. Alboż ojczyzna jego nie znajdowała się tam, gdzie jego pan? Inżynier zatopiony był cały w myślach, i w gruncie rzeczy obawiał się raczej, niżeli życzył sobie przybycia okrętu.

Tymczasem statek zbliżył się nieco do wyspy. Przy pomocy lunety można było poznać, że był to długi statek pocztowy, nie zaś jedna z owych łodzi malajskich, jakich używają zazwyczaj korszarze na Cichym Oceanie. Należało się więc spodziewać, że obawy inżyniera były bezpodstawne, i że zbliżenie się tego statku nie groziło żadnem niebezpieczeństwom wyspie Lincolna. Pencroff, przypatrzywszy mu się uważnie, objawił mniemanie, że jest to dwumasztowy okręt żaglowy, i że płynie w kierunku skośnym do wybrzeży. To samo potwierdził Ayrton.

Lecz płynąc dalej tym trybem, musiał statek zniknąć wkrótce poza przylądkiem Ostrego Szponu; zdążał bowiem w kierunku południowo-zachodnim, a w takim razie, aby go nie spuścić z oka, trzeba było wyleść na wzgórza otaczające Zatokę Waszygntona, w pobliżu przystani Balonowej. Była to okoliczność fatalna, dochodziła już bowiem godzina piąta z wieczora, i wkrótce zmrok zapadający musiał uniemożliwić dalszą obserwację.

— Co poczniemy w nocy? zapytał Gedeon Spilett. Czy zapalimy ogień, aby dać znać o nas?

Była to kwestja nader ważna, pomimo jednak podejrzeń i przeczuć, jakie dotychczas trapiły inżyniera, rozstrzygnięto ją twierdząco. Przez noc okręt mógł zniknąć, odpłynąć na zawsze, a czy drugi okręt zbliży się znów kiedy do wyspy Lincolna? Kto mógł przewidzieć co przyszłość kryła w swem łonie?

— Tak jest, rzekł korespondent, jakiegokolwiek gatunku by był ten okręt, musimy koniecznie uwiadomić go, że wyspa jest zamieszkałą. Zaniedbawszy zdarzającą się nam teraz sposobność, wyrzucalibyśmy sobie to później!

Postanowiono zatem, że Nab z Pencroffem udadzą się do przystani Balonowej i skoro noc zapadnie, rozpalą wielki ogień, którego blask będzie musiał zwrócić uwagę załogi dwumasztowca.

Lecz w chwili gdy Nab z marynarzem gotowali się do drogi, okręt zmienił nagle bieg i zwrócił się prosto ku wyspie, w kierunku Zatoki Stanów Zjednoczonych. Dzielny to był pływak, zbliżał się bowiem z niezwykłą szybkością.

Nab z Pencroffem zaniechali więc swoją podróż, a lunetę powierzono Ayrtonowi, ażeby mógł z całą pewnością przekonać się, czyli ten statek to w samejrzeczy *Duncan*, czy nie. Jacht szkocki posiadał także dwa maszty. Chodziło więc oto tylko, ażeby przekonać się, czyli między oboma masztami wznosi się komin kotła parowego. Okręt oddalony był już tylko o dziesięć mil.

Widnokrąg był jeszcze zupełnie czysty. Łatwo więc było sprawdzić rzecz, i Ayrton po chwili opuścił lunetę i rzekł:

— Nie, to nie *Duncan!* To nie mógł być on!...

Pencroff skierował znów dalekowidz na statek, i poznał, że dwumasztowiec ten, posiadający trzysta do czterysta ton pojemności, smukłej budowy, z wspaniałemi masztami, cudownie przysposobiony do żeglugi, musiał być chyżym bie-

gunem oceanów. Lecz do jakiej narodowości należał, trudno było powiedzieć.

— A jednak flaga powiewa na przodzie, rzekł Pencroff, lecz niepodobna rozróżnić jej barwy.

— Za pół godziny dowiemy się o tem, odparł korespondent. Zresztą rzecz widoczna, że kapitan okrętu ma zamiar tu wylądować, jeżeli więc nie dziś, to jutro, lub później zrobimy z nim znajomość.

— Mniejsza oto! rzekł Pencroff. Lepiej jest jednak wiedzieć, z kim się ma do czynienia, i dlatego byłbym wielce rad poznać barwy tego jegomościa!

Mówiąc to, marynarz nie odejmował lunety od oka.

Wieczór począł zapadać, a wraz z nim i wiatr ustawał. Flaga okrętowa nie wydymana wiatrem, uwikłała się pomiędzy sznury żaglowe i coraz trudniej było ją obserwować.

— Nie, to nie flaga amerykańska, powtarzał od czasu do czasu Pencroff, ani angielska, której kolor czerwony zaraz bilby w oczy; to nie są także barwy francuskie ani niemieckie, ani biała flaga rossyjska, ani żółta hiszpańska... Zdaje się, że jest jednakowego koloru... Zaraz, zaraz... jakie statki na tych morzach spotykaliśmy najczęściej?... może to flaga chilijska? ależ ona jest trójkolorową... może brazylijska? zielona... japońska? czarno-żółta... podczas gdy ta...

W tej chwili wiatr rozwiał nieznajomą flagę. Ayrton pochwycił lunetę, którą marynarz opuścił, przyłożył ją do oka, i zawołał głuchym głosem:

— To czarna flaga!...

W samej rzeczy ciemna płachta powiewała ponuro na przodzie okrętu. Słusznie można go było teraz mieć w podejrzeniu!

Więc przeczucia inżyniera sprawdziły się? Więc to był okręt korsarski, który krążąc po wodach cichego Oceanu, współzawodniczył z korsarzami malajskimi, grasującymi w tych stronach? Czegoż on szukał na wyspie Lincolna? Może w tej wyspie nieznanej upatrywał wyborny schowek na skradzione i zrabowane towary? Może szukał u jej brzegów przystani, ażeby przepędzić w niej miesiące zimowe? Uczciwa osada miałażby się przemienić w schronienie zbójców— w rodzaj stolicy korsarskiej?

Wszystkie te myśli jakby instynktowo powstały w głowie każdego z osadników. Zresztą nie było co dłużej wątpić o znaczeniu, jakie należało przypisywać kolorowi flagi. Była to niezawodnie barwa korsarzy, barwa, jaką byłby wywiesił był *Duncan*, gdyby ziściły się były wówczas zbrodnicze zamiary skazańców!

Nie było co dłużej tracić czasu.

— Przyjaciele moi, rzekł Cyrus Smith, może statek ten chce zwidzić tylko wybrzeża wyspy? Może załoga jego wcale nie wyląduje? To rzecz możliwa. Bądź co bądź, powinniśmy starać się zataić naszą tu obecność. Młyn postawiony na Wielkiej Terasie najbardziej zwraca na siebie uwagę. Niech więc Ayrton z Nabem pozdejmują z niego skrzydła. Gęstszemi gałęziami przysłońmy także okna Pałacu Granitowego. Wszystkie ognie pogasić! Niechaj nic nie zdradza obecności istot ludzkich na tej wyspie!

— A nasz okręt? rzekł Harbert.

— Oh! on skryty bezpiecznie w przystani Balonowej, odparł Pencroff. Pozwalam tym łotrom, niech go znajdą!

Rozkazy inżyniera zostały natychmiast spełnione. Nab z Ayrtonem udali się na terasę i przedsięwzięli potrzebne środki, ażeby zatrzeć wszelki ślad zamieszkania. Podczas gdy zajęci byli tą robotą, towarzysze ich udali się na kraj boru Jakamarowego i zrzucili ztamtąd wielki stos gałęzi i wikliny, które miały utworzyć jakoby naturalną kurtynę i znieść otwory w ścianie granitowej. Równocześnie przygotowano broń i amunicję, tak, by w jednej chwili można z nich było zrobić użytek, wrazie niespodziewanego napadu

Gdy wszystkie środki ostrożności przedsięwzięto, ozwał się Cyrus Smith:

— Przyjaciele moi, — a czuć było w jego głosie wzruszenie — gdy ci nędznicy będą chcieli owładnąć wyspę Lincolna, będziemy ją bronić, nieprawdaż?

— Tak jest, Cyrusie, odparł korespondent, a gdy trzeba będzie, zginiemy w jej obronie!

Inżynier wyciągnął rękę ku towarzyszom, którzy uścisnęli ją serdecznie.

Ayrton sam jeden tylko, siedząc w kącie, nie przyłączył się do osadników. Może on, dawny zbrodniarz, nie czuł się jeszcze godnym tego!

Cyrus Smith zrozumiał, co się działo w duszy Ayrtona, przystąpił więc do niego i zapytał.

— A ty co będziesz robił, Ayrtonie?

— Moją powinność, odparł Ayrton.

Poczem stanął przy oknie i wlepił wzrok między gałęzie.

Była wtedy godzina wpół do ósmej. Słońce od dwudziestu minut skryło się za Pałacem Granitowym. Niebo na wschodzie ściemniało się zwolna. Dwumasztowiec zbliżał się tymczasem coraz bardziej ku zatoce Stanów Zjednoczonych.

Oddalenie jego nie wynosiło więcej jak ośm mil, a znajdował się właśnie wprost naprzeciw Pałacu Granitowego, lawirowawszy bowiem jakiś czas na wprost przylądku Ostrego Szponu, zmienił następnie kierunek na północ, do czego wszczynający się przypływ morza był mu pomocnym. Można było nawet powiedzieć, że zważywszy tę odległość, wpłynął już w głąb zatoki, pociągnąwszy bowiem linję prostą od przylądka Ostrego Szponu do przylądka Obu Szczęk, linja ta od zachodu przecinała okręt.

Przedewszystkiem zachodziło pytanie: czyli dwumasztowiec zapuści się dalej w głąb Zatoki? a następnie: czyli w zatoce zarzuci kotwicę? Czy nie poprzestanie może na zwidzeniu z daleka wybrzeży, nie wylądowując załogi, poczem wypłynie znów na pełne morze? Za godzinę miała ta zagadka być rozwiązaną. Osadnikom nie pozostawało przeto nic, jak tylko czekać cierpliwie.

Cyrusa Smitha wielkim niepokojem napełnił widok czarnej flagi wywieszonej na tym podejrzanym statku. Nie byłaż to groźba wymierzona wprost przeciw dziełu tak zacnie prowadzonemu dotychczas przez niego samego i jego towarzyszy? Więc korsarze ci — a że majtkowie tego statku byli nimi, o tem nie było co wątpić — znali już pierwej tę wyspę, skoro zbliżając się do niej wywiesili swe barwy? Może w głębi wyspy posiadają swe kryjówki, coby wytłumaczyło niejeden z niewyjaśnionych dotąd wypadków? Może w tych niezwidzonych jeszcze dotąd okolicach wyspy ukrywa się który z tych złoczyńców, i teraz połączy się ze swymi wspólnikami?

Na wszytkie te pytania, które Cyrus Smith w milczeniu sam sobie zadawał, nie mógł żadnej znaleść odpowiedzi; czuł tylko, że przybycie tego okrętu w wysokim stopniu zagrażało osadzie.

Bądź co bądź, on i towarzysze jego gotowi byli wytrwać do ostateczności. Czy korsarze ci byli liczni i lepiej uzbrojeni od osadników? O tem warto się było przekonać! Ale jak dostać się do nich!

Noc zapadła. Księżyca nie było na niebie, przypadał bowiem właśnie nów. Głęboka ciemność pokryła wyspę i morze. Ciężkie chmury nagromadzone na widnokręgu nieba nie przepuszczały najmniejszego światełka. Razem ze zmrokiem wiatr ustał zupełnie. Żaden listek nie zaszeleścił na drzewie, żadna flaga nie zaszumiała na brzegu. Okrętu nie było widać zupełnie, wszystkie światła na nim były snać przygaszone, a jeśli znajdował się jeszcze blisko wyspy, nie można było nawet wiedzieć, w którem miejscu.

— Kto wie? rzekł Pencroff. Może ten przeklęty statek odpłynie sobie w nocy i jutro nie znajdziemy znaku po nim?

Jakby w odpowiedzi na te słowa marynarza, żywy blask rozlał się nagle po morzu, a potem zahuczał strzał armatni.

Okręt więc znajdował się w zatoce i uzbrojony był w działa.

Sześć sekund upłynęło pomiędzy błyskiem a hukiem.

Z tego wynikało, że dwumasztowiec oddalony był pięć ćwierci mili od wybrzeży.

Jednocześnie dał się słyszeć głuchy zgrzyt łańcucha przesuwającego się przez dziurę umieszczoną na przedzie okrętu.

Statek zarzucił kotwicę wprost naprzeciw Pałacu Granitowego!

(C. d. n.)

POGADANKI.

V.

Ochota zapustna drzymała snać u nas tego roku, jak ładunek prochu, zamknięty w bardzo ciasnym schowku — bo doczekaliśmy się niepamiętnej oddawna eksplozji. Z jednej koperty, którą otworzyłem temi dniami, wypadły aż trzy zaproszenia na trzy rozmaite bale, urządzane przez młodzież akademicką. Dodajmy do tego bal muzyczny, bal oficerski, wysokie podatki, drożyznę itp. a pojmiemy, że i bez względu na klimatyczne stosunki nader fatalna prawda leży w starem przysłowiu:

Spyta się Luty:
„A masz ty — buty?“

Zapytanie to w szczególnie natrętny sposób zwróci się do tych, którzy nie pamiętali o Lutym w Styczniu, ale hulali tak zawzięcie, jak gdyby pp. fabrykanci obuwia byli w tem położeniu, co masa konkursowa Breymeyera i Połuskiewicza, o której mówią, że ma za 1000 złr. orderów kotyljonowych do sprzedania. Ozdoby te, dawane piersiom za waleczność nóg, powinneby potanieć wskutek licytacji, ale ważniejsze od nich, lakierowane fundamenta każdego cywilizowanego dansera, wcale nie spadną w cenie, bo wskutek jakiegoś niezbadanego jeszcze, tajemniczego prawidła ekonomicznego, szewcy nie bankrutują prawie nigdy. Względy tu przytoczone mogły były przemówić do serca uczestnikom pewnej zabawy, która się odbyła 22 bm. i przeciw której wszelkie zaklęcia *Dziennika Polskiego* okazały się bezskutecznemi. Narodek tańczący chciał pokazać narodowi reprezentowanemu przez dziennikarstwo, że kiedy jeden i drugi postawią się

na głowach, to narodek właśnie wtenczas najlepiej tańczy, a naród już nie może... Ma to swoje powody fizyologiczne.

Niesłuszną wszakże byłoby rzeczą, potępić tańczących nie wysłuchawszy ich obrony. Otóż twierdzą oni, że wypadek, którego rocznicę obchodzimy 22 Stycznia, uważać należy jako radosny, albowiem był on objawem naszej żywotności, i znaczenia tego nie odejmują mu klęski, któremi się zakończył. Rozumowanie to na oko ponętne, upada wobec tego względu, że i radość bywa różnego rodzaju — jednej można dać wyraz, jaki się komu podoba, druga wymaga nieodzownie pewnego spokoju i skupienia ducha. Takiemu nastrojowi najmniej z pewnością odpowiada sala balowa, której widok zestawiony ze wspomnieniem krwawej walki wydobył tak gorzki wyrzut z piersi największszgo z przyjaciół młodej Grecji:

„Naprożno grób przyzywa w bój:
Niech Grekom *inny* zabrzmi śpiew,
Niech płynie win samijskich zdrój —
Zostawmy Turkom bój i krew!
O — *taka* pieśń znalazła wtór:
Patrz, oto wstał bachantów chór!“

Lepszą tedy cząstkę obrali ci, którzy obchodzili rocznicę powstania r. 1863 w poufnem kółku, wyrzekłszy się nawet na ten wieczór towarzystwa kobiet, jako niezbyt sprzyjającego rozpamiętywaniu i wszechstronnemu rozważaniu warunków naszej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Należy przecież bodaj raz do roku odpowiedzieć sobie na pytania: gdzie byliśmy, gdzie jesteśmy, i dokąd idziemy? Pytania te były osią, około której obracały się pogadanki na wszystkich zebraniach. Jedno z nich odbyło się u pana Z. wydawcy *Szczutka*, i dało dowód, że na neutralnym gruncie największe nawet różnice zdań mogą się zetknąć w dyskusji prowadzącej do porozumienia, a nie do owego zaostrzenia sprzeczności, które bywa wynikiem polemiki dziennikarskiej. Na przemian rozmawiano, deklamowano, śpiewano melodje narodowe, i słuchano przemówień, z pomiędzy których jedno mianowicie zasługiwało na jak największą uwagę i na jak najszersze koło słuchaczy. Mowcą był prawie—Krakowianin, tj. obywatel od dłuższego czasu osiadły w Krakowie, i kochający jego stare mury tą miłością, jaką je wszyscy kochamy. Zwrócił on uwagę obecnych na potrzebę zespolenia wszystkich usiłowań przeciw niebezpieczeństwu grożącemu nam ze strony obozu, potężnie dziś rozsiedlonego w odwiecznej królów naszych stolicy. Hasłem tego obozu jest słowo „my“, a środkiem działania na korzyść tego „my“, podporządkowanie myśli i celów narodowych pod rozmaite inne, kościelne i państwowe. Mowca wskazał, jak dalece obóz ten umiał *de facto* opanować wszystko w Krakowie, jak nikt tam prawie oprzeć mu się nie może, ostać się wobec jego przewagi, bo jest to obóz, który ujął w swoje ręce i wyzyskuje dwie tak potężne bronie, jak „k o ś c i ó ł i b a n k.“ Dodam do tego jeszcze k a t e d r ę, a w piśmie politycznem dodałbym i u r z ą d. Nie było między obecnymi nikogo, coby sobie nie wziął do serca przestrogi szanownego mowcy, że wobec tego niebezpieczeństwa należy baczyć jak najpilniej, aby drobne antagonizmy nie tworzyły w obozie narodowym rozstrzelenia, ułatwiającego „podporządkowywaczom“ ich rozkładcze działanie. Wyznać przytem należy, że tego rodzaju zebrania najskuteczniej przyczyniają się do wytworzenia harmonji, bez której nie oprzemy się nacierającemu na nas z czterech stron nieprzyjacielowi, a wobec której z otuchą patrzyć będziemy mogli w przyszłość —

Bo gdzie o wolność zawre bój,
Gdzie w bohaterski ojca ślad
Wstępuje syn, tam w biegu lat
Pomimo klęsk, pomimo strat,
Zwyciężyć musi krwawy znój!

* * *

Na razie, niestety, Galicja w ogóle a Lwów w szczególności prowadzić muszą jeszcze różne inne, uboczne walki, a nie do najłatwiejszych między niemi zdaje się należeć walka z trudnościami stylu, składni i gramatyki ojczystej. Dożyliśmy między innemi ciekawego zjawiska, że ustawa przeciw pijaństwu nie może wejść w życie z powodu, iż prawodawcom naszym podobało się umieścić w niej groźbę, jako „pijaństwo drugi raz publicznie przydybane,“ ma być natychmiast uwięzionem. Gdy na końcu tejże ustawy znajduje się polecenie, by ją minister wykonał, i gdy dygnitarz ten przez podwładnych swoich może wprawdzie kazać uwięzić każdego pijanicę, ale nie może być pewnym, czy uda im się schwytać także i samo pijaństwo, gdyby takowe po raz drugi w nietrzeźwym stanie pojawiło się na ulicy — więc ma być zwróconą uwaga Sejmu na nieuchwytność, właściwą każdemu pojęciu abstrakcyjnemu, a pijakom, nie robiącym burdy, jeszcze przez kilka miesięcy wolno będzie zataczać się bezkarnie pod wolnem niebem ich galicyjskiej ojczyzny.

Trafnie zauważono w *Dzienniku Polskim*, dlaczego „tanie kuchnie“ nazywać się mają koniecznie z wiedeńska kuchniami „ludowemi?“ Inaczej wszakże nie może być w kraju, który z siebie wydziela osobny „wydział,“ w kraju, w którym istnieją „nadradcy“ i „wysokie wyższe sądy krajowe,“ w którym czeladnicy urządzają „sztryki,“ a majstrowie krawieccy przechwalają się, jakoby byli fabrykantami sukna, bo piszą „pracownia s u k i e n męzkich“ nad drzwiami swoich warsztatów. W tym kraju, do niedawna jeszcze zamieszkiwanym przez „obywateli“ i „prywatnych“ (od tygodnia rozróżnienie to ustało w *Gazecie Lwowskiej*) pp. słownikarze i gramatykarze powinni czuć się już dosyć szczęśliwymi, że przynajmniej stopni straży skarbowej nie kazano językowi polskiemu nazywać w zbyt dosłownem tłumaczeniu. Nad całością dochodów skarbowych czuwa tu bowiem w pierwszej linji *Aufseher*, tj. dozorca. Nad nim stoi *Oberaufseher*, nad-dozorca, a temu przypatruje się *Respicient* (przyglądacz) a wszelkiej rzeczy w ten sposób dojrzanej, nad-dojrzanej i oglądniętej, poświęca swoją uwagę oko *Unter-Inspectora*, (pod-naglądacza) *Inspectora* (nadglądacza) i *Ober-Inspectora* (nad-nadglądacza.) Bywały czasy, w których wszystkie te organa z kolei odbywały w sklepach „rozczłonkowane przeszukania“ (*zergliederte Dursuchungen*) a tradycje także musiały wywołać potrzebę „kuchni ludowych“ obok „festynów ludowych“ na stawie Panieńskim. Cud prawdziwy, że Sejmu nie nazywamy *krajodniem*, a terminu sądowego *dniosadzeniem* (Tagsatzung). Co wraz z innemi tuurzędowemi wskazówkami do wiedzenia i podługuważania przyniesionem zostaje*) Datum ut supra i t. d.

Jan Lam.

*) „Zur Wissenschaft und Darnachachtung gebracht wird.“

Listy z Niemiec.

Berlin. — Styczeń — 1876.

Nieszczęśliwy ale dowcipny figiel Thomsona czy Thomasa powinienby dać Europie temat do ......noworocznych życzeń. Przed i z innymi my życzymy sobie, ażeby nas dowcip niemiecki nie podminowywał i w powietrze nie wysadzał; ażeby jego z wierzchu niewinne pomysły i dobremi pozorami opatrzone środki, nie były dla nas dynamitem thomas'owskiego zegaru. Gawiedź obstąpiwszy trupa złoczyńcy, dziwi się, jak podobny potwór mógł się wychować w pieluchach cnót niemieckiego narodu, w uczciwej atmosferze jego tradycji. Zwolna... zwolna... naiwny tłumie! lepiej popatrz na nas, jak obstąpiwszy to twoje poczciwe plemię, pytamy zdumieni pamiętając o własnych krzywdach: dla czego w familji europejskich ludów ta jedna gałęź tak dzika się wyrodziła?... Juźeście nam urządzili nie jeden zegar i niejedno zatopienie, gdzie zginęły setki tysięcy: czegoż się więc dziwicie, że wasz brat odważył się zatopić sto kilkadziesiąt osób? Po co my wszakże napominamy niemiecką rzeszę; ona musi kroić swe uczucia na miarę potrzeb swej kieszeni. Gdyby rozbój chciał być konsekwentnym, przeraziłby się samego siebie i został cnotą. Niechże więc ludziska z oburzeniem potępiają to na małą skalę, co z roskoszą praktykują na wielką. Nowoczesna moralność z nierządnej polityki zrodzona nie rozgrzesza tylko ze złych .... pozorów. Pod tym względem możnaby podobno wydać bremenhaveńskiemu złoczyńcy najchlubniejsze świadectwo. Jak widzę dziś ze śledztwa, mieszkałem z nim w jednym domu, nie wiedząc jak słynny bohater przyszłości był moim współlokatorem. Prawie wszyscy mieszkający tam przesuwali mi się codziennie przed oczami, o ile przypominam sobie, wszystkie twarze nosiły na sobie znamiona uczciwości niemieckiej. Albo więc fizjognomika się myli, albo.... Zagrożeni niemieckim uciskiem Polacy, wytaczają Niemcom przed historją takiż sam proces, jaki ci Thomsonowi przed trybunałem karnym wytoczyli. Powołują się bowiem na fakta, że ciemięstwo wymyśliło taki państwowy aparat, który po pewnym czasie polską załogę na germańskim oceanie do szczętu zagładzi. Narody niezainteresowane bezpośrednio w tej sprawie mogłyby posądzać skarżących o znaczną przesadę pretensji, gdyby... skarżeni nie złożyli publicznie potwierdzającego zeznania. *Finis Poloniae!* wykrzykują niemieccy cywilizatorzy oblizując się po łupie zagrabionym i wdzięcząc się do nadziei spodziewanego, a nadewszystko radośnie zacierając ręce, że oni to dali światu prawo do owego wykrzyku, lub że je.... wkrótce dadzą. Pewnik masy przesiąka do nauki i występuje w książkach jako historyczno-socjologiczna prawda. Dla tego — czytajcie Reicha: *Studien über die Volksseele* (Jena 1876). Szanowny berliński akademik mówiąc o duszach rozmaitych narodów odśpiewał nad naszą *requiem*.... na temata zasług swojego plemienia, ułożywszy z nich zarazem litościwy dla nas nagrobek. „Rossja, Prusy,—powiada on z uczuciem berlińsko-akademickiej temperatury — włażą polskiej narodowości coraz bardziej za skórę*) i można przypuścić, że ona m u s i w końcu paść na ofiarę przemocy... Rossja stara się obecnie wytępić katolicką religję i polski język, a natomiast wprowadzić religję grecką i język rossyjski. Można na p e w n o mniemać, że to radykalne postępowanie w p r z e c i ą g u lat p i ę ć d z i e s i ę c i u zatrze w s z e l k i ś l a d narodowego ducha polskiego i że w Warszawie z jej okolicami zapanuje nie jakiś nowy duch polsko-rossyjski, lecz prawie całkiem moskiewski (moskovitischer)...“ Jest to pierwsza figura, a raczej lansierowy ukłon współtancerce z lewej strony, którym pan akademik rozpoczyna swe polityczno-wróżbiarskie pląsy. Trudno się bić z nadzieją wygranej, rzucając w siebie proroctwami. Jednakże zdaje nam się, że mamy do nich większe nieco niż p. Reich prawo, choćby dla tego tylko, że „Warschau und Umgebung“ zna on widocznie z tak daleka, jak Paragwaj lub Angolę. Otóż zdaniem naszem język polski chociaż rzeczywiście tępiony, nie jest jeszcze w takiem niebezpieczeństwie, ażeby „za lat pięćdziesiąt“ niemieccy filolodzy potrzebowali do zrozumienia go dorabiać klucze jak

*) Najwierniejszy to chyba przekład wyrażenia: gehen der polnischen Nationalität immer schärfer zu Leibe.

*

do narzeczy Japygów lub Abiponów. Jeźli p. Reich wierzy cośkolwiek historji i faktom, a lubi przytem podróże, to radzimy mu pojechać do Budziszyna lub Katowic, a może go tam ziomkowie przekonają, że gdy który z nich chce prowadzić fabrykę lub gospodarstwo, musi dla niemczonego od niepamiętnych czasów Szlązaka uczyć się po polsku, że zatem język tak prędko nie ginie. Język ten zaś w „Warszawie i jej okolicach“ wcale sobie jeszcze nie usypał mogiłki, a nawet nabrał potężnych sił żywotnych. Cisną go tam, bez zaprzeczenia, kochany panie akademiku, nie ustępuje on jednak ani na trochę z mowy towarzyskiej, wzmaga się w pobudzonej literaturze, wspiera się na olbrzymio rozwiniętej prasie. Względem przyszłości trudno robić obliczenia ścisłe, zbladła w nieszczęściach nadzieja wykreśla z rachunku złudzenia, jednakże sumując tylko prawdopodobieństwa, możemy się szczerze roześmiać na wróżbę pruskiego akademika. Ha! może jaki uragan przeciągnie ze Wschodu po polskich niwach i zmiecie z nich lub wyrwie narodowe zasiewy! Wszystko to być może, zwłaszcza że Hunnowie i Wandale nie zeszli z Europy tak bezpotomnie, jak się dotąd historji zdawało. Tymczasem jednak dopóki na widnokręgu naszych losów nie zachmurzyło się na taką burzę i mimo klęsk, żadna złowroga gwiazda nie zapowiada końca naszego świata, bawmy się... berlińskimi akademikami.

Ale przytem posłuchajmy co prawią dalej: „W Prusach — słowa Reicha — polskość upada bez umyślnego przyczynienia się pruskiego rządu!“ Wybaczamy autorowi, że nic nie wie o „Warschau und Umgebung,“ ale że równie jest ciemny w sprawie niszczycielskich operacyj swego rządu, to zaiste trudno byłoby mu darować, gdyby z poza tego wyznania nie błyskał przebiegły uśmiech nacjonalno-liberała. Usunięcie ze szkół i urzędów polskiej mowy, prześladowanie polskiego żywiołu w publicznej służbie — nie należy w słowniku Reicha do kategorji: *absichtliches Zuthun*. Trudno nawet przewidzieć, czegoby jeszcze żądał. Według bowiem tej próbki, można na pewno mniemać, że gdyby pruscy sołdaci wysłali Polakom z rozkazu ministra odpowiednią ilość kul, jeszcze i wtedy pan akademik utrzymywałby, że śmierć poległych nastąpiła „ohne absichtliches Zuthun der preussischen Regierung,“ gdyż jego celem byli żywi a nie umarli. Tak dowodzą apologeci w rządowej liberji! Machiavelli! spij w grobie spokojnie, złą sławę twych wykrętów poczyna wywabiać pruska uczciwość!

A teraz słuchaj wyroczni — Galicjo! „Tu — pisze Reich — warunki najdogodniejsze. I jakkolwiek trudno pytanie rozstrzygnąć stanowczo, być może, iż się Polacy utrzymają; również jednak jest możliwem, że ich Rusini lub Żydzi wessą jak gąbka wodę. Jeśli Rusini pochłoną galicyjskich Polaków, to na pewno przyjąć można, że ztąd powstanie nowy duch narodowy (Volksseele) równie odmienny od ruskiego jak polskiego, może o większym atomowym ciężarze (Atomgewicht) niż duch jednych i drugich. Połknięcie Polaków przez Żydów byłoby, jak wszelkie zżydoszczenie nieszczęściem dla ludzkości“ (75). A więc najszczęśliwsza z dzielnic polskich Galicjo, i tobie berliński prorok tylko pół nadziei istnienia zostawił. Chociaż znowu za tą połową nadziei przestraszył możliwością zginięcia w otchłani — żydowskiej. Gdyby tak być miało, gdyby nawet Rusini „połknęli“ Polaków, to zaiste byłoby dla połkniętych zupełnie obojętnem, czyj żołądek ich strawi — lwa czy krokodyla — Rusina czy Żyda. I tym razem wszakże zdaje nam się, że p. Reich tylko ze swych snów układa łamigłówkę olbrzymiej banialuki. Rusini bowiem nie pochłoną Polaków, gdyż są do tego za słabi liczbą i kulturą, Żydzi!... tu należy się szanownemu akademikowi maleńka od nas uwaga. Żydzi od niepamiętnych czasów przestali być narodem i nigdy nim już nie będą. Brak im do tego instytucyj, takich społecznych uzdolnień, któreby ich w walce o byt z cywilizowanemi ludami utrzymać mogły. O Żydach mówić można tylko jako o żywiole religijnym lub socjalnym, ale nigdy politycznym. Są oni jedynie elementem, składnikiem rozpuszczonym w masie tego lub owego narodu, rozkładającym go więcej lub mniej zgubnie, ale nie grożącym mu absorbcją państwową. Powtarzamy: Żydzi jako naród, jako organizm polityczny nie istnieją. Mają oni zupełnie też samą, a co najmniej podobną rolę jaką gra społeczna partja. Jeżeli Reich miał ten punkt widzenia na myśli, jego rachuba zyskuje na prawdopodobieństwie, ale w takim razie należałoby do podziału Polską powołać Jezuitów. Nie ma bowiem żadnych głębszych różnic między ich stanowiskiem do społeczeństwa polskiego, a żydowskiem. Równie Jezuici jak Żydzi są kosmopolitami, żywiołem sfanatyzowanym, osłabiającym narodowy dobrobyt, eksploatującym narodowe zasoby, niepołączonym z cywilizacją krajową przez żadne ściślejsze węzły, również są sektą, kastą... socjalną chorobą. Dodać nadto trzeba, że choroba ta jest wyłącznie lokalną w Galicji i nie dotyka innych ziem polskich.

Ale powróćmy jeszcze na chwilę do Reicha. Czego chce od nas, co ma do nas? Sprawiedliwość wyznać każe: nic. Rzeczywiście, trudno berlińskiego akademika posądzić o jakąś szczególną dla nas nienawiść. Owszem widoczną jego tendencją jest zająć pozycję czysto objektywnego badacza, który na dolę i niedolę narodów patrzy jak na przemiany natury. I wróżba więc jego o naszej zagładzie nie płynie z płatnego lub zabrukanego źródełka uczuć, a z naukowych zamiarów. Lecz pytanie: czy do poglądu szanownego akademika nie przymięszała się, może mimo jego wiedzy stronnicza farba? Tego zaprzeczyć niepodobna; gdyż naprzód z każdego słowa wyskakuje ten pewnik, że Reich zupełnie nie zna sytuacji i natury narodu, o którym wyrokuje, a powtóre, że go lekceważy. Ztąd to pochodzi jego odwaga, z jaką ryzykuje się na wnioski, do których mu brak podstaw, ztąd obojętność na sprawdzenie się proroctw. Wywróżyć coś z wiatru Anglji lub Francji—sprawa ryzykowniejsza, ale Polsce! Nikt o niej nie pamięta, to też nikt pamiętać nie będzie przepowiedni. Czy Francja utrzyma się przez wiek przy Rzeczypospolitej? nad tem pomyśleć warto, a rozstrzygnąć trudno. Ale czy Baszkiry, Ostyaki, Jnkagiry, Kweny, Jakuci lub... co dla berlińskiego akademika wszystko jedno... Polacy zachowają swój byt przez pół wieku, nad tem głowy łamać nie warto i dość dla zdecydowania się... stuknąć palcem o palec, Reich widocznie w swej kabałce trafił i dla tego... przepowiedział zgubę Polakom za lat pięćdziesiąt. Gdyby pióro było przypadkiem zamiast piątki napisało trójkę, Reich równieby wierzył swojemu proroctwu, a dodać trzeba, że i dla nas miałoby ono też samą, co obecnie wartość.

Podobno pewien niemiecki bursz pytał się raz, czy Polska leży z tej czy z tamtej strony Uralu. Pomijając gatunek fanfaronady głupotą podszewkowanej, nastręcza nam się uwaga do faktu mającego szerszy od niej rozmiar i większe znaczenie: dla czego Niemcy narażają dobrą swą sławę uczoności rażącą niewiadomością o stosunkach słowiańskich, a w szczególności polskich? Wrzeszczeć na niekorzyść naszej oświaty — warto tylko mocnego gardła i ślepego oka, ale nie narodu, który zwykł światu imponować swą dokładną wiedzą. Czy można jej wydać gorsze świadectwo jak zdradzając zupełną nieznajomość narodu, który się sądzi? Niemcy zapominają, że dali nam straszną broń w rękę od chwili, gdy się okazało, że właśnie lekceważeniem nas dowiedli swego obskurantyzmu. Na wszelki protest ze strony Polaków zwykli wytaczać swe ciężkie działa: Szyllerów, Mozartów i Humboldtów, czy to argument? Przypuściwszy, że w żadnej dziedzinie nie mamy równych genjuszów, czego nikt bezstronny twierdzić nie będzie, czyż to odejmuje naszym zasobom wszelką wartość i wyłącza nas od współpracy w cywilizacji? Jest to zjawisko niezmiernie charakterystyczne, że uczeni niemieccy mówiąc o państwie Jnkasów, Astekòw lub Chaldejczyków, z nadzwyczajną skrzętnością spisują cały inwentarz ich kultury, wykrywają w nim nieoszacowane skarby i każą im olbrzymio procentować w ogólnym rozwoju ludzkości. Tymczasem gdy przyjdzie obliczyć bogactwa Polaków, wystawiają im kwit żebraczy. Najdrobniejszy ślad cywilizacyjny w Peru nazywa się skarbem, najwyraźniejszy w Polsce—drobnostką. Bezrozumne głowy, które fanatyzm zamącił, leją łzy ze zmartwienia, że im jakiś chaldejski zwitek zaginął, a obojętnie patrzą na genjalnie dzieła polskich poetów. Robak miałby prawo powiedzieć najznakomitszemu naturaliście: jesteś głupi, bo nie tylko o mnie nie wiesz, ale i wiedzieć nie chcesz. W braku innego przywileju możemy się na ten powołać — względem Niemców.

Od czasu do czasu — przyznać trzeba — odzywają się między nimi głosy kompetentne. Takim był obszerny traktak w *Preussische Jahrbücher* (Berlin 1 Heft 1875) pt. *Die erste Theilung Polens und die Constitution vom 3. Mai 1791*. Praca napisana z pewną znajomością rzeczy i możliwą bezstronnością narodowego.... egoizmu. Czytajcie sami te wstrętne karty pół rozpaczliwych pół haniebnych dziejów, bo ja obawiam się, żeby mi papier nie spalił się pod ich sprawozdaniem. Bodajby mózg raz o nich zapomnieć!... *Ale....*

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

Nadzieja podniesienia bytu Polski, zapał powszechny, ofiary patrjotyczne na wystawienie stotysięcznego wojska, zachowanie zwyczajów krajowych, mowy ojczystej, były ogólnem usiłowaniem, tak dalece, że mało kto w dawnym stroju pozostał a wszyscy polski przywdziali.*) Moja garderoba szkolna nie była kosztowna więc i ja pospieszyłem wystąpić w nowym ubiorze. Ilekroć z przyczyny różności opinji przycinki osobiste i głośne sprzeczki w rozprawach słyszeć się dały, kanclerz w imieniu króla wzywał marszałków do tronu, a za zbliżeniem się ich król odraczał sesję do dnia następnego. We święta rano kościoł, później spacery i teatr były zajęciem dnia całego. Stryj mój jeździł wtedy zwykle o 5tej wieczorem do Łazienek do króla, dokąd i mnie brał z sobą, a gdy on rozmawiał z królem, ja na spacer chodziłem do parku, gdzie pełno znajomych spotykałem. Razu jednego na moje imieniny przyszli z powinszowaniem po objedzie dworscy, marszałek dworu**) Kosicki i koniuszy Dytrych. Kazawszy przynieść dwie butelki piwa angielskiego, sam tylko szklankę wypiłem, ale nieprzyzwyczajony uczułem, nagle potrzebę snu i położyłem się. Ledwie godzina minęła, kareta staje przed moją stancją, i lokaj wpada, wołając: „— Pan marszałek czeka!“ — Zrywam się, biegnę i siadam drżący w karecie, bom się bardzo bał stryja. Ruch prędki karety był przyczyną, że zaczęło mnie nudzić, wychyliłem głowę za okno a w tem mój stryj zawoła: „— Pfe, pfe, to piwko! Waszeć się widzę udźgał.“ Ja nic, ale wkrótce musiałem znowu wychylić głowę a mój Stryj: „— WPan mi karetę powalasz!“ Jam na wszystko milczał. Przybyliśmy do Łazienek, kareta stanęła przed kwaterą adjutanta królewskiego Byszewskiego, synowca jenerała; tam wysiadłszy wypiłem filiżankę kawy czarnej, dwie szklanki lemoniady i w godzinę zupełnie przyszedłem do siebie.

Nazajutrz bałem się bury od stryja, lecz on żadnego mi wyrzutu nie uczynił, a i mnie się nic podobnego więcej nie wydarzyło.

Stryj mój po śmierci pierwszej żony, z domu Czapskiej, ożenił się z jej siostrą. Była ona wdową po księciu Radziwille i miała z nim córkę, Marjannę, która później poszła za jenerała Wincentego Krasińskiego. Obojga stryjowstwa ży-

*) Hetman Ksawery Branicki nawet, zawsze ubierający się po francusku, wróciwszy z pod Oczakowa wystąpił po polsku przebrany.

**) W Polsce każdy magnat miał liczną służbę, co dworem nazywano i co Engeströma, jak sam pisze, tak dziwiło.

czeniem było, abyśmy się pobrali, to też ułatwili mi sposobność zapoznania się z nią bliżej. Brała lekcje tańców, i stryj kazał mi się z nią uczyć. Trzy razy na tydzień przychodził nauczyciel tańców Ledoux, dawał lekcje allmanda i menueta. Księżniczka miała rok dziesiąty, a ja ośmnasty; ona mała a ja cienki i wysoki; przytem strój polski nie był stosowny do początkowej nauki tańców, a w dodatku będąc nieśmiały i niezgrabny, skakałem jak żuraw. Guwernantka Ballet często mnie zapraszała to na owoce, to na lody, ale ja przyszedłszy nie wiedząc co mówić milczałem. Staranie się o dziecko nie szło więc pomyślnie, chociaż stryj mój często mi powtarzał: „— Księżniczka przyniesie ci miljony w posagu!“ Lecz któryż młody robi rachubę na majątek? Na zabawę do księżniczki przychodziła w dni świąteczne panna Anna Tyszkiewicz, córka Hetm. Wgo. a siostrzenica królewska, która później poszła za Wąsowicza, o dwa lata starsza od księżniczki. Czarno-brewa, biała, choża, wesoła, oczami pięknemi strzelająca, śmielsza w zaczepianiu mnie, musiała się więcej podobać, niżeli księżniczka skromna i mniej piękna. Ale na szczęście wojaż mój do Konstantynopola zerwał te wszystkie układy.

Wspomniałem już, że stał ze mną w jednej oficynie Ignacy Stecki*), 3 lata starszy odemnie, ale znający świat i śmielszy. I tak pewnego dnia we święto przyszedł do mnie o 1ej z południa Broniec ze Steckim mówiąc: „Chodź z nami na objad do Poltza.“ Łatwo się dałem namówić, jedna była tylko oberża u Poltza w całej Warszawie na ulicy Długiej, tam więc udaliśmy się zaraz. Gdy po objedzie o 4tej przyszedłem do stryja, ten zapytał mnie, gdzie jadłem. „U Poltza“ rzekłem. „Co to za Poltz, nie znam, czy to jaki urzędnik?“ — „Nie, to oberża.“ — „Co to za oberża, to karczma! gdzie tylko ci chodzą, którzy do żadnego domu nie są proszeni. Waćpan się tam nic dobrego nie nauczysz, każdy dom dla niego jest otwarty, nieproszonego z ochotą przyjmą wszędzie. Proszę, żeby to było raz ostatni, inaczej Waćpana do mego stołu nie przyjmę.“ Na całą odpowiedź pocałowałem w rękę stryja, który Steckiemu nic nie powiedział, chociaż ten był przytomny naszej rozmowie.

Sejm był rozwinięciem nauk w klasach pobieranych; była to nowa szkoła uzupełniająca pierwszą. Każdy z młodzieży, który uczęszczał na sesje, mógł wiele korzystać. Cóż to za mowcy byli! Rozprawy żywe jak wyświecały stan Polski! Sejm ten trwał cztery lata i dla tego nazwano go sejmem czteroletnim. Nie chciano znieść przywilejów szlachectwa, nie łamano herbów jak w czasie terroryzmu we Francji, ale postanowiono podnieść stan kupiecki i postawić go na równi ze szlacheckim. I tak pierwsi panowie mieli pod firmą swoją sklepy, a mój stryj miał sklep sukna i choć raz powinien się był w nim znajdować i łokciem mierzyć. Wszystkie zagraniczne pisma pochwalały umiarkowane obrady nasze, ale już pod ów czas trzy ościenne mocarstwa lękając się podniesienia i wzmocnienia narodu polskiego, sekretnie podział jego układały. Skasowano tron elekcyjny i haniebne prawo *liberum veto*, w następstwie zaś ofiarowano tron Infantce księżniczce Saskiej, córce Elektora pod ów czas panującego.

*) Ignacy Stecki był kuzynem autora, bo synem Steckiego, starosty owruckiego, ożenionego z Małachowską, córką kanclerza, siostrą ojca autora.

Książę jenerał Adam Czartoryski był posłany z tą wiadomością do Drezna, jako poseł nadzwyczajny, a brat mój jako minister rezydent razem z nim pojechał. Uchwalono także wysłać posłów do wszystkich dworów*) zagranicznych z oznajmieniem o nowej formie rządu Rzeczypospolitej polskiej. W dowód pamięci, że mój pradziad, wojewoda Poznański, zawarł traktat Karłowicki z Turkami, stryj mój przeznaczył mnie do ambasady Piotra Potockiego, starosty Szczyżeckiego, którego mianowano posłem nadzwyczajnym do Porty Ottomańskiej, i dnia 7go września 1788 r. opuściłem Warszawę i zjechałem się z posłem w Wrocławiu, zkąd już razem ruszyliśmy dalej.

Tu się kończy opis 18 lat życia od urodzenia, a zaczyna się życie publiczne, które dawniej opisałem.

Przedstawiam ci kochana córko obraz moralny całego siebie, z postępowania mego widzieć będziesz mój charakter, a wszystkie pisma moje, które tobie jednej udzieliłem, poświadczą ci moje stałe dla ciebie przywiązanie rodzicielskie.

Dnia 16go stycznia 1848 r.

CZĘŚĆ II.

Świta składająca ambasadę Piotra Potockiego była bardzo liczna, bo prócz dworu i żołnierzy kilkadziesiąt, którzy kosztem rządu byli utrzymywani, samych kawalerów assystujących o swoim koszcie było 11. Gdy już dzień odjazdu dla posła był oznaczony, oznajmiono nam wszystkim, cośmy do tej podróży należeli, iż miejscem zjechania się z posłem jest Wrocław, gdzie każdy miał się stawić d. 20 września. Jakoż nie chcąc uchybić terminowi, wybieraliśmy się w drogę. Ja opuściłem Warszawę 9. września 1789 roku; miałem kocz podróżny, umyślnie przez sławnego pod ów czas majstra Dangla sporządzony; gdy inne pojazdy się psuły, mój bez reparacji powrócił. Kosztował mnie 120 dukatów, co wtedy za bardzo drogi uważali. — Miałem z sobą dwóch służących, kamerdynera i strzelca. Pierwszy zwał się Ligman, a drugi Sebastjan Łyczkowski. Poczciwi — niepijący — pilnujący mnie, obydwa do śmierci służyli. Poznałem się z młodym, bo tylko 2 laty starszym odemnie Adamem Brońcem, który był na opiece i sekretarzem ksic. Stanisława Poniatowskiego, synowca króla.**) Opatrzność tak nademną czuwała, że i ten młody był bez żadnych złych nałogów, pełen honoru i obyczajów czystych. Jego więc za towarzysza podróży obrałem. Miał do współki kosztów należeć, ale o 30tu dukatach wyjechawszy, już odemnie we Wrocławiu przymuszony był pożyczyć. Później był marszałkiem dworu; za panowania cesarza Aleksandra obdarzony orderami, i gratyfikacjami, dochowywał mi wdzięczną przyjaźń, ale zawsze był goły, bo lubił żyć nad miarę. Łaska więc to była szczególniejsza P. Boga, że dwaj tak młodzi bez dozoru i przyjaciela rozsądnego, oddani sami sobie, i puszczeni w tak wielki świat, żadnych długów, żadnego wstydliwego postępku nie zrobili. Uprzedziliśmy na pięć dni przybycie posła, który do Wrocława przyjechał z dwoma swymi synami: Kaźmierzem i Feliksem, i guwernerem Polinim. Kaźmierz umarł na suchoty we Włoszech, a Feliks przy wskrzeszeniu Polski przez Napoleona był pułkownikiem, i odbył kampanję w Hiszpanji, z której powróciwszy wkrótce umarł. Polini zaś, ożeniwszy się we Wiedniu, jako dobrze mi znajomy przyjechał do nas, i w domu naszym przez lat 40 najprzyjemniejszym był towarzyszem. W kilka dni jeszcze we Wrocławiu zabawiwszy, ruszyliśmy razem. Poseł lubiąc towarzystwo wesołych, wsiadł do mego powozu, a w jego powozie były dzieci i guwerner. Jechaliśmy przez Drezno, gdzie byłemu pod ów czas Elektorowi i Infantce zostaliśmy przedstawieni. Po trzech dniach odpoczynku puściliśmy się w dalszą podróż, jadąc spieszno przez Tyrol, Bawarję (w Monachjum dzień tylko zatrzymaliśmy się) dalej przez Gorycję do Mestry, zkąd popłynęliśmy do Wenecji. Widok tego miasta, że tak powiem pływającego na wodzie, tak mocne wrażenie na moim młodym umyśle zrobił, że zdawało mi się, iż nic w świecie nie może być powabniejszego.

Zresztą uprzejmość mieszkańców, piękność i grzeczność kobiet, które dla nas Teatr *de société* uformowały i sztukę z piosenkami do nas i narodu naszego stósownemi graty, tak mi głowę zawróciły, że gdy poseł, który kilka dni zabawiwszy, dla uniknienia podróży morskiej, której się bał niezmiernie, trakt na Rzym i Neapol obrócił, proponował mi, abym również z nim jechał, wystawiając, że tam nierównie piękniejsze przedmioty będę widział, nic mnie nie mogło nakłonić, i jak Hannibal do Kapny, tak ja do Wenecji przylgnąłem. Później przyszedłszy do rozumu żałowałem, że tak korzystną sposobność opuściwszy, nie widziałem miast tych klasycznych i sławnych starożytnością. Sześć niedziel bawiłem we Wenecji, ledwie ztamtąd wyrwany zostałem, i w towarzystwie Poliniego, dzieci i świty posła wsiedliśmy na okręt kupiecki kapitana Chiotro, i opuściliśmy w nocy to zaczarowane miasto, odprowadzeni o milę w barkach i gondolach z muzyką przez damy pierwszego towarzystwa. (C. d. n.)

*) Do Petersburga po odmowie Szczęsnego Potockiego i księcia Kaliksta Ponińskiego nie wysłano nikogo. Do Wiednia pojechał Wojna, star. stanisławowski; do Berlina ks. Józef Czartoryski; do Londynu Bukaty; do Danji Adam Rzewuski; do Stambułu Piotr Potocki z autorem, a do Drezna Adam Czartoryski z Janem Małachowskim, starostą opoczyńskim.

**) Książę Stanisław Poniatowski był jedynym synem księcia Kaźmierza i Apolonji Ustrzyckiej; ur. się 1754 r. um. w 1833, i dzisiejsi Poniatowscy w prostej linji od niego pochodzą, bo drugi brat króla, Andrzej, miał księcia Józefa, który umarł bezpotomnie.

Z pola odkryć.

Nowa metoda wyrobu żelaza sztabowego.

Od r. 1871 powszechną uwagę hutników i technologów zwrócił na siebie następujący wynalazek Dank'a, mający na celu przy wyrobie żelaza sztabowego znaczne zastąpienie pracy ręcznej pracą mechaniczną.

Żelazo surowe, czyli tak zwany surowiec, do wielu wyrobów wymagających większej wytrzymałości jest za zbyt kruchem i łamliwem. Ta jego własność pochodzi od niewielkiej ilości zawartego w niem węgla. Dla tego też, aby je uczynić wytrzymalszem, a zarazem miększem i mniej kruchem, należy z niego oddalić ten węgiel tj. właściwie zamienić na stal lub żelazo kute. Takie odwęglanie surowca połączone jest z wielu trudnościami mechanicznemi, które prawie do ostatnich czasów zużywały bardzo wiele i to niezmiernie mozolnej pracy ręcznej.

Dla otrzymania stali trzeba surowiec odwęglać tylko do pewnego stopnia, przy otrzymywaniu żelaza kutego odwęglanie musi być o ile możności zupełnem. Nadto ponieważ stal jest topliwą, a żelazo kute przy najwyższej nawet temperaturze pieców hutniczych jest nietopliwem, ztąd i z tego względu sposoby wyrobu stali i żelaza musiały się różnić od siebie. W obu jednakże razach odwęglanie zawsze polegało na spaleniu węgla zawartego w danym surowcu. Przed kilkunastu laty Bessemerowi w Anglji udało się wyrób stali z surowca uprościć w ten sposób, że przez stopioną massę kilkudziesięciu centnarów żelaza przepędzał strumień ogrzanego powietrza, które w jednej chwili spalało nadmiar węgla, i po kilku minutach cała masa stopionego surowca była zamienioną na stal. Metoda Bessemera wkrótce rozpowszechniła się po całej Europie i Ameryce, a jej wynalazca jest dziś jednym z najbogatszych ludzi. Według przywilejów udzielonych mu na samą Anglję, miał od fabrykantów pobierać $1/2$ guldena srebrem od 1 centnara wyprodukowanej jego metodą stali, a w roku 1869 Anglja produkowała około 7 miljonów centnarów stali bessemerowskiej. Czysty zatem dochód Bessemera w samej Anglji wynosić musiał rocznie około $3 1/2$ miljona guldenów srebrem. Jednakże o ile metoda Bessemera okazała się znakomitą do wyrobu stali, o tyle nie dawała się zastosować do wyrobu żelaza kutego czyli sztabowego, albowiem skoro odwęglanie dosięgało pewnej granicy, żelazo tężało i dalsze przepuszczanie powietrza i spalanie węgla zdawało się niemożebnem. I dla tego też dotąd otrzymywanie żelaza sztabowego czyli kutego odbywać się musiało na wielką skalę głównie za pomocą tak zwanego owieżenia czyli odwęglania pudlowego. To ostatnie polegało na tem, że robotnik za pomocą haków żelaznych stopiony surowiec w przystępie powietrza urabiał tak długo, aż żelazo w miarę spalania się zawartego w niem węgla, dostatecznie zgęstniało, czyli dopóki nie wyrobił tak zwanej lupy. Łatwo pojąć jak tego rodzaju praca musiała być mordującą i ile sił ludzkich zużywała. Robotnik na wpół nagi ciągle musiał przerywać swą pracę zmordowany ciężarem i wysoką temperaturą stopionego żelaza, co chwila musiano go oblewać zimną wodą; a jakiegoż to zdrowia potrzeba, aby przy takich warunkach, będąc z jednej strony wystawionym na wysoką temperaturę pieca, z drugiej na wolny dostęp powietrza od zewnątrz zaledwie tylko dachem pokrytej fabryki, nie zerwać sił swoich. Dawno już wyrabianie lupy próbowano uskuteczniać przy pomocy przyrządów mechanicznych, lecz natrafiono w tym kierunku na bardzo wielkie trudności, aż nakoniec Dank'owi w r. 1871 udało się podać nową zupełnie metodę, będącą niejako uzupełnieniem metody Bessemerowskiej. Jakkolwiek metoda Dank'a jest zupełnie jeszcze nową, w każdym jednak razie po szybkiem jej rozpowszechnianiu się zaledwie o tem wątpić można, iż zajmie to samo stanowisko na polu wyrobu żelaza sztabowego, jak metoda Bessemerowska w wyrobie stali. Dank zbudował podwójny piec, którego jedna część jest stałą, druga ruchomą; ta ostatnia opatrzona płytami żelaznemi ma postać walcowatą lub stożkowatą, i jest jakby kanałem odprowadzającym płomień z części pieca stałej do komina. Nadto część ruchoma komunikuje z częścią stałą i kominem tylko za pomocą stosunkowo niewielkich otworów, tak iż tym sposobem w ruchomej części pieca można pomieścić dosyć znaczne ilości (10 centnarów) surowca przeznaczonego do odwęglenia. Nakoniec ruch tej bębnowatej, leżącej ruchomej części pieca, odbywa się tym sposobem, że spoczywa ona na trybach, które zaczepiają ją o zęby kół zębatych osadzonych na jej powierzchni, same zaś tryby poruszane są odpowiednią maszyną parową lub wodną. Odwęglanie odbywa się tu działaniem nie tlenu z powietrza, lecz rudy dodawanej do surowca; a ruda, sama się odtleniając, swoim tlenem spala węgiel zawarty w surowcu. Skutkiem ruchu cylindra i ciągłego przesuwania się surowca z jednego miejsca na drugie, surowiec wchodzi w dokładne zetknięcie z rudą, i tym sposobem ostatecznie znika potrzeba mięszania go i urabiania lupy, którą zupełnie gotową potrzeba tylko po odpuszczeniu żużla na zewnątrz wyciągnąć. Co więcej, metoda Danka polegająca na współczesnem odtlenianiu rudy, sprowadza wzbogacanie od 10—15 procent wyrabianego produktu.

Jeżeli Bessemerowski sposób wyrabiania stali znalazł w tak krótkim czasie powszechne zastosowanie, to tem bardziej sposób Danka rozejdzie się wszędzie, bo ułatwia znacznie wyrób żelaza, materjału daleko jeszcze potrzebniejszego i bardziej niż stal rozpowszechnionego.

Ze świata muzycznego.

Program II. koncertu Towarzystwa Muzycznego z dnia 17 stycznia zadowolił prawie wszystkie narodowości. Polacy, Rusini i Czesi słyszeli swoje kolendy — Francuzi, Włosi i Niemcy mieli zaś Berlioza, Corellego i J. S. Bacha — żydzi więc tylko pozostali bez reprezentanta i... recenzenci którzy rozumie się bez znalezionego ale nie byliby recenzentami. To ale ex officio pożądanem jest w samej rzeczy dla dobra ogółu, a byle tylko uzasadnione nie powinno pozostać bez skutku; przedewszystkiem jednakże obliczyć nam się należy z siłami, jakiemi rozporządzamy i tem co wykonać jest staraniem naszem. Dzieła jakiemi są Oratorium „L'enfance du Christ" Berlioza — Concerto grosso „Fatto per la notte di Natale" Corellego i „Weihnachsts-Oratorium" J. S. Bacha, wymagają do doskonałego wykonania chórów i orkiestry, oddawna już w tym rodzaju muzyki opracowanych, i częstem wykonywaniem podobnych utworów dobrze już do nich włożonych i pewnych siebie. Orkiestra złożona z artystów stałych, którzy od dłuższych lat obok siebie grają i wspólnie pracują, pewniejszą jest bez zaprzeczenia po jednej próbie, niż orkiestra mięszana artystów z amatorami po kilku, choćby i najsumienniejszych ćwiczeniach, czystość zaś intonacji często więcej zależy od dobroci instrumentów dętych, na których nam podobno zbywa. Jeżeli bowiem naturalnym porządkiem rzeczy przy dłuższem graniu każdy instrument rozstrajać się musi, okoliczność ta staje się u nas tem niebezpieczniejszą, gdyż instrumenta dęte strojne z natury do jednego kamertona sztucznie, a więc i tymczasowo zaledwie mogą być do czystego jednobrzmienia sprowadzone. Pominąwszy już wewnętrzną wartością dzieł pouczający program i nowy kierunek, jaki Towarzystwo Muzyczne w tegorocznych koncertach objawia, a który tylko pochwalić się godzi, krytyce sumiennej mającej na celu u nas podniesienie sztuki, należy szukać niedostatków w niestosownem obsadzeniu solowych partyj, pojęciu i traktowaniu wykonanych dzieł, przeprowadzeniu stylu i zachowaniu właściwego tempa. Z solowych partyj, a było ich dwie tylko, p. Cet. odśpiewał arję tenorową (E-mol) i pna. R. arję altową z oratorium Bacha pod każdym względem starannie, i publiczność bardzo sprawiedliwie nagrodziła ich zasłużonemi oklaskami. We wstępie instrumentalnym do Oratorium Berlioza i koncercie na instrumenta smyczkowe Corellego, przeprowadzenie każdej myśli i cieniowanie odpowiednio do naszych sił nie pozostawiły nic do życzenia. Z ustępów Weihnachts-Oratorium J. S. Bacha mniej może zrozumianą była Symfonia a najwięcej wystudjowaną fuga. Ustęp ten, którego dokładność wykonania polega przedewszystkiem na pewności rytmicznej i równości tempa poszedł może najlepiej. Z trzech odśpiewanych kolend zwróciła na siebie uwagę polska: „W żłobie leży" którą p. dyr. Mikuli bardzo pięknie harmonizował — zarzut zaś p. B. K. recenzenta *Gazety Lwowskiej*, co do wyboru i oryginalności melodji może nie koniecznie jest słusznym. „W żłobie leży" może więcej jest ludowem niż „Lulajże Jezuniu" a przynajmniej więcej w niej śpiewu i lepiej ułożyć się daje. Kolend ludowych mamy tyle, że temu ta zdaje się piękniejszą, kto jakiej się więcej od dzieciństwa nasłuchał. Co się zaś tyczy oryginalności tematu, to podobno bardzo trudno, aby dziś ktoś prawdziwy podyktować był w stanie. pierwsza ich inspiracja zanadto już od nas daleka, a pokolenia w różnych prowincjach z różnemi dodatkami ją przekazywały.

Walery Wosocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kalendarz myśliwski. Lwów 1876.

Niniejszy kalendarzyk, wydany przez Romana hr. Potockiego, zawiera całą ustawę z d. 30 stycznia r. 1875 z którą powinien być obznajomiony nietylko każdy myśliwy, lecz także każdy właściciel polowania; na początku wydawca umieścił bardzo dobrą tabelę dla myśliwych, aby wiedzieli kiedy i na co polować. Cały kalendarzyk jest wydany starannie, a cena jego bardzo niska, bo kosztuje tylko 20 ct. Nabyć można w księgarni Richtera we Lwowie.

— Gulistan, czyli ogród różany Sadego z Szyrazu. Z oryginału perskiego przełożył W. Biberstein Kazimirski. Nakładem Bibljoteki Kórnickiej. Paryż 1876.

Pan Kazimirski, niepospolity znawca języków wschodnich, pracuje oddawna dla Francji, która dała mu pomieszczenie w ministerstwie spraw zagranicznych. Między innemi przetłumaczył on wybornie Koran na język francuski. Zachęcony przez hr. Jana Działyńskiego, dokonał teraz przekładu Gulistanu na język polski. Gulistan był już tłumaczony niemal na wszystkie języki europejskie. Czem jest Gulistan, o tem nas objaśnia tłumacz w swej przedmowie, z której następujący wyjmujemy ustęp: „Szejch Sâdy z Szyrazu napisał swój Gulistan (Ogród różany) w połowie trzynastego wieku naszej ery, a dotąd jeszcze zachowała ta książeczka u Persów całą swoją pierwotną świeżość i urok, chociaż język perski nie znajdował się w warunkach tak przyjaznych właściwych językowi arabskiemu. Nie mylił się nasz dowcipny derwisz Szejch Sâdy, kiedy nie bez pewnego uczucia swojej wartości we wstępie do Gulistanu mówi:—Uszczknij listek z mego różanego ogródka, bo ten zawsze będzie świeży. W istocie Gulistan jest w Persji pierwszym i ostatnim i nieodstępnym każdego Persa towarzyszem, i że tu użyję wyrażenia perskiego, — towarzyszem starych i młodych, wielkich i małych, znakomitych osób i pospolitych ludzi, wysokich i poziomych. Jest w ręku wszystkich, jak gdyby jaki mistrz języka za Kaukazem i Taurusem z dawna był go Persom temi słowy zalecił: „Nocturna versate manu, versate diurna." Jego powieści i przypowieści, porównania i żarciki każdy prawie ma w pamięci i na zawołanie; jeden stosowny do zdarzenia wierszyk umie przytoczyć, drugi maksymą lub przysłowiem z Gulistanu argument sobie ukuć, jeden westchnąć erotycznym wierszem z Gulistanu, drugi innym jakim wierszykiem rozweselić lub rozśmieszyć. Sâdy jest Szejch par excellence; Szejch tak mówi, — Szejch nas tak uczy, jakże to pięknie Szejch powiedział! Inne pisma Sâdego są wielce szacowne i znane, ale pod względem popularności Gulistan pierwszeństwo trzyma." Powyższe zalety Gulistanu, tej skarbnicy moralności, mądrości i dowcipu muzułmańskich Persów, były zachętą do tłumaczenia go na różne języki — począwszy już od XVII. wieku.

Francuska.

— Les Origines de la révolution francaise, par M. H. Taine. — Tome Ier. L'Ancienne régime, 1 Vol. in 8. Hachette. Paris 1876.

Rewolucja francuska stanowi nieprzeparty pociąg do studjów dla myślicieli. Autor powyższego dzieła przedsięwziął zgłębić najtajniejsze jej pobudki. W rozdziale traktującym o systemie feudalnym francuskim, nie znajdujemy wprawdzie nic nowego, o co zresztą po wyczerpującem dziele Tocqueville trudno by już było — za to rozdziały opisujące społeczeństwo 18 wieku, które grupowało się wyłącznie około ówczesnych salonów, niemniej rozdziały traktujące o panującym duchu klasycyzmu, zawierają bardzo wiele nieznanych szczegółów i poglądów.

— De Paris à Pékin par terre, par M. Victor Meignan, I vol. in 18 avec gravures; Paris — 1876 — Plon.

W podróży lądem do Pekinu zwidził M. Victor Meignan wśród najtęższej zimy Syberję, Mongolję i północne Chiny. Z zapisków podróżnych utworzyła się w ten sposób nader ciekawa książka, prostująca wiele rozpowszechnionych fałszów, i posiadająca tysiące nieznanych dotąd szczegółów. Dla nas Polaków najbardziej zajmującym jest ustęp o towarzystwie syberyjskiem, — w którem według słów autora wygnańcy Polacy stanowią żywioł cywilizacyjny. Opisanie kopalń syberyjskich złota, nie ustępujących wcale kopalniom w Kalifornji, zasługuje także na uwagę. Koronę jednak całego dzieła stanowi opisanie mało dotąd znanej stolicy państwa Mongolskiego, miasta Urga, zwłaszcza pod względem towarzyskim. W tem mieście autor przebywał dłuższy czas.

Nowości

podawane przez księgarnię
Seyfarta i Czajkowskiego
we Lwowie.

Andersen H. C. — Malowanki, w 8ce. Kraków 1876 60 ct
Gerstäcker. — Regulatorzy w Arkanzas. Powieść z życia amerykańskiego, w 8ce 2ty. Lwów 1876. Zł. 3.
Liguori, S. Alfonsa. — Przygotowanie się do śmierci czyli rozmyślania nad odwiecznemi prawdami użyteczne tak swieckim jako i duchownym, przełożone z włoskiego przez księdza A. Osmołowskiego, w 8ce. Kraków 1876. Zł. 1.
Paszkowski, M. — Pisma w dużej 8ce. Lwów 1876. Zł. 3·40.
Poezje Marji B. w 8ce. Lwów 1876. Zł. 1·20.
Słowacki, Juljusz. — Listy do Matki 1830—1835 w dużej 8ce. Lwów 1875. Zł. 2·50.
Szpaderski, ks. Józef. — Homilie i nauki niedzielne tom I. w 8ce. Kraków 1876. Cena dzieła za 2 tomy zł. 4.

Dzieła francuskie.

Essai de Philosophie sacrée ou de lécture sainte d'aprés les Saints Péres et la Tradition catholique par l'Abbé Cirot de la Ville tome I. premiére partie Dieu. Paris 1875. Zł. 2·40.
Castel, A. Les Tapisseries. — Ouvrage illustré de 22 vignettes sur bois par P. Selier, w 8ce; Paris 1876 Zł. 1·35.
Jacob, P. L. — Mystificateurs et Mystifiés; Histoire comiques. Paris Zł. 1·80.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— We Lwowie zawiązał się komitet, mający na celu wydawnictwo dziełek ludowych. W skład komitetu weszli pp: A. Młocki, Henryk Janko, dr. Wojciech hr. Dzieduszycki, dr. Al. Hirschberg, Albin Rayski, dr. Tad. Skałkowski, Juljusz Starkel, Piotr Zbrożek. Komitet wydał już odezwę, którą umieścimy w przyszłym numerze. Ważnej tej sprawie poświęcimy wkrótce więcej miejsca.

— Starożytny Lublin obok szacownych historycznych pamiątek szczyci się tem, że tu się Wincenty Pol urodził, Sebastjan Klonowicz tutaj urzędował i umarł. — Klonowicz miał zdawna w kolegiacie S. Michała prostą pamiątkową tablicę z napisem łacińskim. Po zburzeniu kolegiaty tablica przeniesiona do katedry jeszcze się w niej znajduje. Ks. Walenty Baranowski, biskup lubelski, zamierzył dla obu postawić w katedrze okazałe pomniki z kararyjskiego marmuru. W tym celu zgłosił się do Kajetana Koźmiana z prośbą o czterowiersz polski na uczczenie pamięci twórcy *Flisa*. Sędziwy poeta spełnił to życzenie i nadesłał następne wiersze:

„Zniszczył czas pomnik Leszka ku czci Archanioła,
Ten kamień oszczędziły zwaliska kościoła;
Zaszczyt miasta, jak chwała wieszcza nie zaginie,
Czciciele nauk, drugą zdobią nim świątynię.“

Obecnie zgłosił się ks. Baranowski do A. E. Odyńca jako nestora naszych poetów, ażeby na pomnik Pola ułożył napis. Autor Barbary przysłał następny czterowiersz:

„Wieszcz, co daru natchnienia jak on w pieśniach użył
Ku chwale przodków, wiary i cnót wiekopomnych,
Na jaką cześć sam przez to u ziomków zasłużył,
Pomnik ten niech na wieki świadczy dla potomnych.“

Wspaniałomyślny fundtor pragnie do pomników dodać potrety olejne, na blasze malowane.

— Znany przywódzca stronnictwa postępowego w Hiszpanji, p. Emil Castellar, wydał niedawno dziełko pt. „Wspomnienia z Włoch“ które zostało już przetłumaczone na kilka języków europejskich. Nie jest to podróż, ale wspomnienia prawdziwe, pełne wzniosłych, poetycznych ustępów, i uwag głębokich. Przy edycji niemieckiej, która właśnie prasę opuściła, znajduje się przedmowa Castellara, specjalnie dla Niemców napisana. Warto ją przeczytać. Na tych nielicznych kartach można znaleźć więcej mądrości, niż w kilkudziesięciu innych dziełach razem zebranych.

— Książę Romuald Giedroyc, wydał w Paryżu po francusku Historję Portugalji w bieżącem stuleciu. Autor wziął sobie za zadanie wyjaśnić, dla czego Portugalja mimo tak bliskiego sąsiedztwa z wiecznie niespokojną Hiszpanią, rozwija się prawidłowo, podobnie jak mała Belgja, która także sąsiaduje z rewolucyjną Francją. Z zadania autor pomyślnie się wywiązał. Cała rzecz jasno przedstawiona — styl piękny i zwięzły. Książę oddałby naszemu narodowi prawdziwą usługę, gdyby pisząc po francusku, zapoznawał Europę z dziejami Polski lub jej literaturą. Wszak i tu znalazłby rzeczy ciekawe i godne swego talentu.

— Najstarszym z dzienników wychodzących obecnie na świecie, jest organ rządu chińskiego, „Gazeta pekińska państwowa,“ czyli właściwie „Wiadomości z stolicy Chin.“ Sprawdzono niedawno, że dziennik ten wychodzi od roku 741, a zatem lat 1135. Kilkadziesiąt egzemplarzy sędziwego dziennika dochodzi do Europy.

— Nowy obraz francuskiego malarza Meissoniera, przedstawiający szarżę kawalerji w bitwie pod Friedland, o którym wspominaliśmy na tem miejscu, a którego cena wynosiła 400.000 fr. został kupiony przez Amerykanina Stewarda.

— Znany niemiecki malarz Piloti, postanowił wymalować wielkie płótno, na którem zostanie portretowanych 300 znakomitości samego miasta Monachjum.

— Jan Strauss napisał nową operetkę, która pierwszy raz będzie we Wiedniu przedstawioną. Libretta dostarczył O. F. Berg. Tytuł operetki jeszcze nieznany.

— Rząd francuski kazał odrestaurować katedrę w Reims, na co przeznaczył 2 miljony franków.

Podróże i komunikacje.

— O podróży porucznika Camerona, który szczęśliwie przeszedł całą Afrykę środkową, nadeszły bliższe szczegóły. Cameron był wszędzie przychylnie przyjmowany przez krajowców, jeden raz tylko miał większe z nimi starcie, odkrył nowe wielkie jezioro, które nazwał Livingstone, i przekonał się, że Afryka środkowa posiada bardzo wiele drogich kruszców, mianowicie złota i srebra, które możnaby korzystnie eksploatować. Cameron mniema, że z kapitałem 20 miljonów guldenów, eksploatacja dałaby się przedsięwziąć na większą skalę, i wkrótce opłaciła by się najzupełniej.

— Kilku oficerów amerykańskiej marynarki, zamierza wyruszyć 1. kwietnia rb. do bieguna północnego, w celu szukania papierów, które nieboszczyk John Franklin musiał ukryć w jakiejś skale.

— Etna zaczyna się niepokoić; na wyspie obawiają się wybuchu.

— Po niepowodzeniu niemieckiej wyprawy afrykańskiej, która chciała rozpocząć badania od zachodnich brzegów Afryki, geograficzne Towarzystwo berlińskie oświadczyło, że usiłowań dotychczasowych nie należy uważać za ostateczne, lecz owszem Towarzystwo powinno zebrać jak najwięcej pieniędzy, aby ekspedycja mogła przyjść do skutku. Zapatrywanie to popierał głównie dr. Nachtigall, przewodniczący Towarzystwu, który jak wiadomo odbył kilka podróży w głąb Afryki.

— W Londynie utworzyło się towarzystwo budowy dróg żelaznych w Chinach. Pierwszą próbną linją jaką towarzystwo budować będzie, jest linja od Szanghai do Wunsong, mająca zaledwie $9^1/_2$ mil angielskich długości. Towarzystwo oddało konstrukcję drogi przedsiębiorcy Johnowi Dickson, który wyprawił już do Szanghai wszystek materjał potrzebny do konstrukcji i otwarcia ruchu na linji. Inżynier towarzystwa wcześniej już udał się na miejsce dla wykonania przygotowawczych robót, i skoro wszystkie materjały i przybory znajdą się na miejscu, budowa się wnet rozpocznie. Inżynier konstruktor ma nadzieję, że na miesiąc Lipiec kolej będzie zupełnie gotowa. Towarzystwo liczy bardzo na to, że widok maszyny przewożącej z taką szybkością passażerów i towary, wywrze silne wrażenie na krajowców i tym sposobem zyska kolejowym przedsiębiorstwom popularność i zapewni im powodzenie. Ponieważ budująca się linja ma być tylko próbną, przeto szerokość jej wynosić będzie tylko dwie stopy cali sześć, skutkiem czego kapitał na to przedsiębiorstwo zużyty, będzie stosunkowo bardzo niewielki. Jeżeli pierwsza ta próba odniesie pożądany skutek, w takim razie nie podlega wątpliwości, że koleje żelazne w Chinach wkrótce się rozwiną i po całym kraju zaprowadzone zostaną. „Rzecz to pewna, piszą *Times*, ze przedsiębiorcy tej budowy w stosunkach z Chinami, przyniosą nam większą przysługę, niż wszelkie traktaty i konwencje.“

Odkrycia.

— Niedaleko Semlinu we Węgrzech, znaleziono prawdziwy skarb archeologiczey. Przy kopaniu ziemi, natrafiono w głębokości dwóch sążni naczynie, zawierające 230 monet złotych, które, jak Dr. Szafarzyk utrzymuje, były prawdopodobnie własnością jakiegoś bogatego archeologa rzymskiego. Pieniądze pochodzą z czasów Nerona, Domicjana, Germanicusa, Tytusa i wielu innych.

— Profesor Marion w Marsylji, donosi o ważnem i ciekawem odkryciu zrobionem w okolicy tego miasta, w dolinie Saint Clair pod Gemenod. Jestto grota do której się wchodzi przez szczelinę w wapieniu jurajskim, pochodzącą z czasów przedhistorycznych. W grocie znaleziono kości ludzkie należące do dziewięciu lub dziesięciu ludzi, oraz pewną ilość obrobionych krzemieni, które w owych czasach służyły za broń i nareszcie kilka odłamków naczyń glinianych pierwotnej roboty. Część kości odesłano do muzeum paryskiego. Zebrane szczątki ludzkie wykazują wątłą budowę ciała indywiduów do których należały.

— Do liczby ciał, zdolnych dostarczać dobry gaz oświetlający, należy zaliczyć jeszcze korek. Dokonane niedawno w Bordeaux próby, doprowadziły do nader pomyślnych rezultatów tak pod względem taniości jak i przymiotów gazu. Zarząd miejski postanowił zaprowadzić u siebie ten nowy sposób oświetlania i zamówił już przyrządy do zwęglania korka. Za materjał do wydobywania gazu posłużą głównie obrzynki, otrzymywane przy przygotowywaniu korków butelkowych. Płomień nowego gazu jest daleko jaśniejszy od płomienia z węgla kamiennego, ponieważ niebieska jego część jest znacznie węższą i cały jest daleko bielszy.

— W Islandji odkryty został ptak żyjący na morzu, nadzwyczaj pojętny i rozumny. Przelatuje on w ciągu godziny 150 mil angielskich i jest w stanie, z najodleglejszych stron lądu lub morza wypuszczony, powrócić do ojczyzny. Para tych ptaków dostała w Grudniu depeszę z Paryża do miejscowości dzikiej i skalistej, położonej o mil 10 od Londynu. Podróż tę odbyła w ciągu $1^3/_4$ godziny. Jeżeli próby wykonywane z temi ptakami pójdą pomyślnie, wtedy spodziewać się można urządzenia z przyszłą wiosną miniaturowej poczty oceanowej między Europą a Ameryką. Cała odległość (jeżeli podróż odbędzie się szczęśliwie) z jednej półkuli na drugą, przebytą będzie między wschodem a zachodem słońca.

Pamiątka.

— Komitet stuletniego obchodu niezawisłości amerykańskiej postanowił postawić dwie kolumny pamiątkowe na dwóch brzegach Dolawary na uczczenie pamiętnej przeprawy przez tę rzekę, dokonanej w nocy 25 grudnia 1776 roku przez Washingtona z armją amerykańską. Podczas owej przeprawy, przez szeroką rzekę pokrytą ogromnemi odłamami lodu, jeden z takich kawałów kry uderzył o łódź wiozącą kilkudziesięciu żołnierzy i przewrócił ją. Ani jeden z mężnych, którzy znaleźli śmierć w nurtach Dolawary nie wydał najmniejszego krzyku, któryby mógł ostrzedz obozujących na drugim brzegu Anglików o przeprawianiu się armji. Dzięki temu bohaterskiemu poświęceniu, nazajutrz, Washington pod Trenlo odniósł zwycięztwo nad Anglikami i korpusem hesskim. Była to pierwsza większa bitwa stoczona z Anglją po pamiętnym akcie z d. 4 lipca 1776 r. deklaracji amerykańskiej niepodległości.

Nekrologja.

† Seweryn Korzeliński, oficer z r. 1831. i autor „Podróży do Australji,“ która w swoim czasie była z zajęciem czytaną, umarł w Bereźnicy d. 22. stycznia r. 1876.

ROZMAITOŚCI.

— Filip III, król hiszpański, wyszedłszy pewnego dnia w r. 1616 na balkon swego pałacu Eskurjalu, spostrzegł w pewnem oddaleniu leżącego na słońcu akademika Madryckiego, który trzymając jakąś książkę w ręku, od czasu do czasu głośnym śmiechem wybuchał. Widok ten przejął podziwieniem króla, tembardziej, że z postępem owej widocznie zabawnej lektury, rosła wesołość czytającego i doszła w końcu do tego stopnia, iż rzuciwszy książkę, w napadzie szalonego śmiechu po ziemi tarzać się począł. Wówczas Filip zwrócił się do towarzyszących mu dworzan i rzekł: „Młodzieniec ten albo ma bzika, albo czyta Don Quixota!“ Posłano więc natychmiast sługę i przekonano się, że studjosus był zupełnie przy zdrowych zmysłach i że istotnie sławny humorystyczny romans Cerwantesa do takich objawów wesołości go doprowadził. Gdy się to działo w ogrodach Eskurjalu, jednocześnie w ciemnym domu w jednej z bocznych uliczek Madrytu inna odgrywała się scena, w tragicznym z poprzednią zostająca związku. W nędznej izdebce, na niepokrytym sienniku, leżał człowiek pięćdziesięciokilkoletni, ale ze śnieżną już całkiem brodą, i znękanemi rysami, na których cierpienia i nędza wyraziście się wypiętnowały. Starzec ów zebrał właśnie w tej chwili wszystkie siły i uniósłszy się na drżących rękach, gasnącym już głosem dyktował pismo dziękczynne do hr. Lermy, za otrzymaną odeń maleńką jałmużnę. W dzień potem można było widzieć wychodzący z tego domu ubogi kondukt pogrzebowy, a współczujący przechodzień, spytawszy o imię nieboszczyka odbierał następującą odpowiedź: „Był to biedny literat, a cały żywot jego można uważać za nieprzerwany łańcuch klęsk i cierpień. Nędza zmusiła go do zostania lokajem, a następnie do zaciągnięcia się, jako prosty żołnierz, do wojska. Ranny w bitwie pod Lepanto, dostał się w jasyr korsarzy tureckich, u których pięć lat przesłużył na galerach. Powróciwszy do ojczyzny, otrzymał nędzną posadę poborcy solnego, którą jednak nie długo się cieszył. Oskarżono go bowiem fałszywie i znowu wtrącono do więzienia. Wśród takich żałośnych okoliczności, rzucił się do zawodu pisarskiego, czem zdołał tyle zarobić, że nie umierał z głodu. Dzisiaj nareszcie śmierć wyzwoliła go z tego padołu płaczu. Zostało po nim wiele prac; pomiędzy innemi napisał romans bardzo wesoły „Don Quixot“ a nazywał się Miguel Cerwantes.“

— W ciekawym zbiorze autografów historycznych, wydanym przed paru laty w Londynie, znajduje się także list pięknej, a tak nieszczęśliwej Anny Boleny, drugiej żony Henryka VIII angielskiego. Jak wiadomo, z damy dworskiej została Anna żoną potężnego monarchy i zaszczyt ten bardzo prędko na pniu katowskim odpokutowała. List jednakże, o którym mówimy, nie wtajemnicza nas w tragiczne dzieje tej ofiary wielkości, jest bowiem z epoki o wiele wcześniejszej, z czasów gdy Anna była jeszcze damą dworską, ale zasługuje na uwagę ze względu na stosunek ówczesnych obyczajów do dzisiejszych. List to do przyjaciółki na prowincji, a brzmi tak w całej swojej prostocie: „Droga Marjo! Oto już miesiąc jak bawię w Londynie, a nie mogę powiedzieć, żeby mi tu szczególnie było dobrze. Wstajemy zwykle bardzo późno, rzadko przed szóstą, a czuwamy do późnej nocy, tak że trudno mi przed dziesiątą do łóżka się dostać. Taki rodzaj życia przyprawia mnie prawie o chorobę, i gdyby nie mnóstwo pięknych rzeczy, któremi mnie tu codziennie obdarzają, zdaje mi się, że już byłabym uciekła do was napowrót. Moja droga matka kupiła mi wczoraj pięknego płótna, po 14 pensów łokieć, a wkrótce na bal u Milorda Norfolk dostanę parę nowych bucików, które będą co najmniej trzy szylingi kosztowały. Nieporządne to życie tutejsze, zupełnie mi popsuło apetyt. Wiesz przecie, że dawniej zjadałam zwykle na śniadanie porządny kawał wędzonej wieprzowiny, i wypijałam miarę piwa, dzisiaj ledwo mogę połowę tego spożyć, pomimo że bardzo późno objadujemy, bo w przyzwoitszych domach nikt tu przed dwunastą nie siada do stołu. Wczoraj w wieczór bawiliśmy się u lorda Hincester Plumpsack. Lord Surrey, bardzo przyjemny kawaler, był tam także i śpiewał nam piosenkę, ułożoną przez niego samego dla córki lorda Kildare. Bardzo nam się podobała. Brat mój szepnął mi do ucha, że piękna Geraldina, tak się nazywa narzeczona lorda Surreya, ma być nadzwyczajmiłem dziewczęciem. Jakżebym ją chciała poznać, jeżeli jest tak dobrą! Droga Marjo, myśl tam w mojej nieobecności o moich kochanych małych kurkach! Biedne ptaki, kto je tam teraz żywi? Jeżeli Margareta skończyła już moje purpurowe wełniane rękawiczki, rada byłabym je dostać przy pierwszej okazji. Bądź zdrowa, moja droga Marjo! Idę teraz na mszę. Przyobiecaną książkę otrzymasz wkrótce. Anna Boleyn.“ Biedna Anna! Jak blisko od tych naiwnych i łagodnych dziewiczych zwierzeń i uczuć, do podwórca Toweru i błyszczącego toporu kata?!... Tylko kilka stopni tronu!

— Książę Karol Eugenjusz Wirtembergski utrzymywał wychowańców swojej sławnej „Karlschule“ w wielkim rygorze. Za każdą najmniejszą winę, winowajcy dawano karteczkę oskarżającą, którą sam obowiązany był doręczyć księciu. Najbogatszym zwykle w takie kartki bywał hrabia von Nassau, dowódzca najdzikszych figlów i psot w szkole. Pewnego razu przystąpił ów niepoprawny młodzian z całym stosem kartek karnych do księcia, właśnie w chwili gdy ten się przechadzał z kochanką swoją hrabiną von Hohenheim po ogrodzie. Książę rozgniewany, ujrzawszy winowajcę nastroił srogą minę i zabierał się do ostrej przemowy, którą tak zaczął: „Hrabio von Nassau, cóżbyś teraz uczynił, gdybym ja był tobą a ty księciem Karolem?“ Na te słowa zuchwały młodzieniec nie namyślając się ani chwili, zbliża się do pięknej hrabiny i całuje ją, mówiąc: „Chodź Franiu, zostawmy tutaj tego młodego błazna!“ Krok ten szalony tak rozśmieszył księcia, że istotnie zostawił na miejscu dowcipnego wychowańca i na ten raz uwolnił go od wszelkiej kary.

— Historja kuchen tanich zawiera oryginalne epizody. Oto parę z nich. W jednej z wąskich i brudnych uliczek okręgu Saint Marceau w Paryżu, przed laty 40 może znajdowała się restauracja z charakterystycznem godłem nade drzwiami. „Au hasard de la fourchette!“ Dewizę tę zrozumiał wnet każdy, kto tylko wszedł do tej osobliwej garkuchni. Na prawo od wejścia stał tam wmurowany ogromny miedziany kocioł, który codziennie o drugiej napełniano płynem, noszącym nazwę „buljonu“, w braku jakiejkolwiek innej. W płynie tym pławiła się pewna ilość kawałków mięsa, które także na powyższej podstawie nazywano bifsztykami, kotletami i frikandami. Gospodarz o danej godzinie wychodził przede drzwi swego zakładu, i wychwalając smakowitość i pożywność swojego mięsa, ofiarowywał przybywającym gościom pewną ilość losów, po sousie jeden. Poczem gdy już wszystkie losy rozebrano, każdy ze szczęśliwych posiadaczy miał prawo z kolei zapuścić długi widelec w kocioł. Jeśli udało mu się złowić kawałek mięsa to było jego szczęście; jeżeli zaś nie, otrzymywał na pociechę talerz „buljonu.“ W tym samym czasie, gdy kwitła ta loterja kuchenna, w innym kącie Paryża, a mianowicie przy rogatce Belleville, oryginalniejszy jeszcze gastronomiczny był zakład. Za 20 sous wolno tam było jeść tyle ile kto chciał, a raczej ile zdołał pochłonąć w przeciągu 25 minut. Było to więc jedzenie na czas. Na dany znak widelce, noże i szczęki zaczynały robotę; czas był wymierzony, więc drogocenny. Nikt nie tracił sekundy na pochwałę lub naganę potraw, bo każde słowo przyprawiało o stratę kąska. Jak tylko jednak pierwszy głód wilczy uciszyli współbiesiadnicy, z ust ich wyrywał się jednocześnie olbrzymi krzyk „wody!“ Ale gospodarz udawał głuchego i w tem to właśnie była ujemna strona tego jedynego w swoim rodzaju objadu. Wszystkie potrawy były przepieprzone tak straszliwie, że po kilku kęsach nikt już nic nie mógł przełknąć bez popicia. A wody nie było! Napróżno wołano o nią aż do ochrypnięcia — tymczasem czas ubiegał — i nagle na brzęk dzwonka zwiastującego przejście wyrocznych 25 minut, w mgnieniu oka znikały ze stołu potrawy. Figiel był skończony. Na ulicę wypadała gromada Tantalów, klnąc i pędząc do najbliższej studni.

— W najbardziej ubłogosławionym winnicami kraju, w kraju „kędy cytryna dojrzewa“ szlachetny ten dar doznaje barbarzyńskiego obejścia. Zamiast go chłodzić gotują go na ogniu i zamieniają w płyn palący język, jak rum. Stosuje się to szczególniej do Abruzzów, które są właściwą ojczyzną tak zwanych „Vini cotti“ (gotowanych win). Napełniają tam winem wielkie kotły miedziane i zostawiają je przez cały dzień na ogniu. Ma to chronić wino od zepsucia, zdarzającego się często w tym klimacie — ale cóż z tego? kiedy wygotuje się nietylko woda, ale i cała siła, cały aromat wina, a pozostaje mieszanina podobna do rumu, paląca i drapiąca podniebienie. Archeologowie przez pamięć, że obyczaj gotowania win jest bardzo starożytny — mogą mieć doń pewną sympatję, ale prawdziwy smakosz o nieuczonem podniebieniu, uczęstowany takim napojem, musi zawołać z rozpaczą za Szylerem: „Zum Teufel ist der Spiritus, das Phlegma ist geblieben!“

— Drzewo żądne krwi znajduje się na wyspie Madagaskarze. Pień jego, wysokości około 8 stóp, ma formę ostrokręgu uciętego, którego wierzchołek jest wgięty na podobieństwo misy, a w tej wydziela się słodka lepka ciecz, własności silnie upajającej. Z wierzchołka drzewa zwieszają się ogromne liście, w rodzaju liści agawy, tylko zagięte na podobieństwo rogu, którego część zagięta, obsadzona jest kolącemi haczykami; liście te mają do 12 st. długości, a do 2 st. szerokości. Nieco poniżej liści, mieści się szereg włochatych, zaostrzonych w końcach wąsów zielonych, długości każdy do 8 stóp. Pomiędzy liściami i wąsami znajduje się sześć białych przezroczystych kleszczy, długości około 5 stóp, mających tę szczególniejszą własność, iż ciągle znajdują się w ruchu. Drzewu temu oddaje pokłony dzikie plemię Widokasów, które mu nawet składa ofiary ludzi. Doktor Litch, który odkrył i zbadał to drzewo, opisuje w następny sposób to składanie ofiar: Na ofiarę zwykle wybieraną jest kobieta, którą zmuszają do wdrapania się na drzewo i napicia znajdującej się tam cieczy. Skoro jednak upojona chce zeskoczyć z drzewa, kleszcze zaczynają ściskać ją z straszną siłą, a liście zamykają się i ostatecznie rozgniatają nieszczęśliwą ofiarę. Podtenczas cieknie po drzewie wspomniona słodkawa ciecz i miesza się z krwią ofiary; na tę to ciecz dzicy rzucają się z niepohamowaną żądzą i upiwszy się takową, zaczynają dziką orgię. Po upływie pewnego czasu, drzewo przyjmuje swą dawną postać, a z nieszczęśliwej ofiary pozostaje tyko skruszony szkielet. Wiele zwierząt leśnych staje się zdobyczą tej krwi żądnej rośliny. Drzewo-ludojad, oprócz Madagaskaru, znajduje się jeszcze i na niektórych wyspach australskich.

— „Daily News“ donoszą o podwójnej katastrofie na wielkiej północnej kolei żelaznej w pobliżu stacji Huntington. Przed godz. 7mą wieczór d. 21 b. m. pociąg osobowy szkocki oczekiwany po godz. 8ej w Kings Cross, wpadł na pociąg z węglem. Kolej pokryła się pogruchotanemi wozami i wielu podróżnych ciężkie odniosło uszkodzenia. Zanim jednak dano znać o zaszłem nieszczęściu, i posłano o pomoc dla rannych, pociąg pospieszny, który wyszedł z Kings Cross o godz. $5^{1}/_{2}$ wpadł na kupę pogruchotanych wagonów, i do reszty je rozbił, sam również wielką poniosłszy szkodę. Kilka osób zginęło w tem drugiem uderzeniu a wiele ciężko zostało poranionych. Spotkanie to przypisują wielkiej zadymce, która niedozwalała dostrzedz świateł pociągów. Lord Collville i poseł rosyjski hr. Szuwałow jechali w jednym z ostatnich wagonów i wyszli cało, lekko tylko potłukłszy się, a dyrektor kolei północno-wschodniej Cleghorn ma strzaskaną rękę; między zabitymi jest Miller prawnik z Edinburga.

Odpowiedzi Redakcji.

A. O. w Rudkach. Przysłany nam wiersz nie będzie drukowany, ponieważ jest nadto realny.
A. S. poczta Gorlice. Tom IV dzieł Wincentego Pola wyjdzie za kilka dni.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).